„TRĘDOWATA"

Mirosław Derecki str. 10–11

AFERA W KAZIMIERZU

str. 4–5

czas. 2552/1976/26

ROK. ZAŁOŻENIA 1933

Kamena

LUBLIN 26 XII 1976 Nr 26 (616) DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY CENA 3 ZŁ

Egzemplarz Okazowy BIBLIOTEKA UMCS LUBLIN

Rys. K. Kozlowski

Maria Bechczyc-Rudnicka str. 4–5

WILNO I KOWNO

Krzyżówka świąteczna

str. 15

Jolanta Baryła

usprawiedliwienie

idzie los z torbami grzechów
zima
spokojniutko serce drży
ale los wyrzucił z torby
wichro-śnieżne grzechy trzy
losie odpuść
to tak z zimna dla ogrzania
popełniłam je

idzie los z torbami grzechów
wiosna
jakże mocno serce drży
a tu los wyrzucił z torby
zielono-kwietne grzechy trzy
losie odpuść
to tak w burzy przy radości
popełniłam je

idzie los z torbami grzechów
lato
jeszcze mocniej serce drży
i znów los wyrzucił z torby
plażo-wodne grzechy trzy
losie odpuść
to tak w słońcu nad jeziorem
popełniłam je

idzie los z torbami grzechów
jesień
razem z sercem ciało drży
bo tu los wyrzuca z torby
deszczo-srebrne grzechy trzy
losie odpuść
to tak z biegiem mądrych liści
popełniłam je

zeszedł rok ze ściany zdarzeń
rok za rokiem
a za którymś pełnym grzechów
odejdziemy my

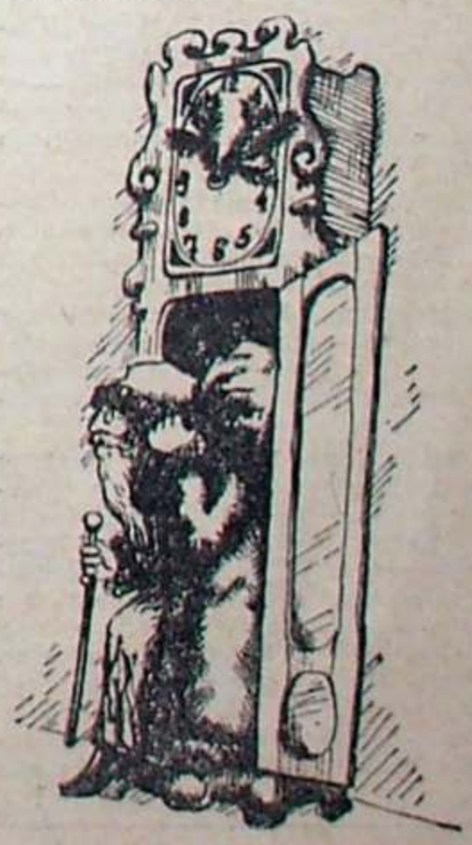

Rys. K. Kozlowski

DO SIEGO ROKU
wszystkim Czytelnikom
i Współpracownikom
życzy KAMENA

W 70 ROCZNICĘ URODZIN LEONIDA BREŻNIEWA

TAKI SAM DZIŚ JAK WCZORAJ

BYŁ *12 grudnia 1943 roku. Niemcy usiłowali ponownie zdobyć Kijów, oswobodzony właśnie przez Armię Czerwoną. 40 kilometrów przed ukraińską stolicą, we wsi Kołonczina, za karabinem maszynowym poległego czerwonoarmisty leżał komisarz polityczny: Leonid Breżniew, liczący wówczas 36 lat. Niemiecka piechota zbliżyła się już na 30 m do prowadzącego ogień Rosjanina. Wtedy ciężka artyleria zmusiła nacierających do odwrotu. Pułkownik do spraw politycznych, Breżniew, ubrany w biały, poplamiony krwią kożuszek barani, zapalił papierosa, który skręcił właśnie dla niego kapitan Iwan Krawczuk.*

Ow epizod związany z osobą Leonida Breżniewa, uczestnika drugiej wojny światowej, przypomniał zachodnioniemiecki tygodnik „Der Spiegel" w przeddzień wizyty Sekretarza Generalnego KC KPZR w RFN (18—22 maja 1973 r.). Do tego epizodu warto wrócić dzisiaj, gdy przywódca narodu radzieckiego, wielki obrońca pokoju, wypróbowany przyjaciel Polski obchodzi 70-lecie swoich urodzin.

W jego oficjalnej biografii powiedziano: *zna smak wiejskiego chleba i zapach topionej stali.* John Miller z brytyjskiego „The Daily Telegraph" z 19 listopada br. dodaje: *Jest najmilszym z ludzi, jest skromny i humanitarny, ma poczucie humoru i żywą mimikę twarzy. Był wyjątkowo zdolnym studentem, pełnym inwencji inżynierem, bohaterem z okresu wojny. Dziś jest mistrzowskim planistą i organizatorem, umiejącym przerzucać się z problemów wystrzelania pojazdów kosmicznych na zagospodarowanie nowych gruntów pod uprawę zbóż. [...] W sprawach międzynarodowych Breżniew również uchodzić może za człowieka czyniącego cuda...*

Prześledźmy drogę jego życia.

Leonid Iljicz Breżniew przyszedł na świat 19 grudnia 1906 r. Miejsce urodzenia: Kamienskoje, późniejszy Dnieprodzierżyńsk na Ukrainie. Pochodzenie: robotnicze. Jego ojciec, Ilja Jakowlewicz, całe życie przepracował w miejscowej stalowni. Syn, już jako piętnastoletni chłopiec, trafił do tego samego zakładu. Po latach będzie wspominał: *Sposób bycia w fabryce, myśli i nadzieje ludzi pracy oraz ich stosunek do życia — wszystko to miało decydujący wpływ na kształtowanie mego światopoglądu. To, co się wówczas uformowało, pozostało we mnie na całe życie.*

Niełatwe były lata. Kraj musiał leczyć rany zadane przez pierwszą wojnę światową i przez wojnę domową. Ludzie pracowali z pełnym poświęceniem. Na pierwszej linii walki o odbudowę, a później o budowę nowego socjalistycznego państwa byli komuniści i ich młoda zmiana — komsomolcy.

Do Komunistycznego Związku Młodzieży Leonid Breżniew wstąpił w siedemnastym roku życia. Do partii — w 1929 r. Po dwóch latach stażu otrzymał w 1931 r. legitymację pełnoprawnego członka WKP(b).

Okres powojenny to nie tylko odbudowa przemysłu, to cała batalia o chleb. Młody komsomolec dwoi się i troi, wkrótce też rolnictwo staje się jego żywiołem. Jakże ten burzliwy okres przydał mu się w późniejszej działalności, gdy w latach pięćdziesiątych partia skierowała go do Kazachstanu!

Na razie Leonid Breżniew jest w grupie tych aktywistów, którzy troszczą się o chleb dla głodującego kraju. Kurs.., Orsza, Ural — to dalsze miejsca jego pracy. Po ukończeniu technikum rolniczego staje się geometrą i daje się poznać nie tylko jako zdolny fachowiec, ale i dobry organizator. Zjednywa sobie sympatię otoczenia. Później pracuje w szkolnictwie zawodowym i jednocześnie studiuje w Instytucie Metalurgicznym, który kończy z wyróżnieniem w 1935 r. Teraz wraca do tych samych zakładów, w których niegdyś rozpoczynał swą drogę zawodową jako zwykły robotnik. Wczorajszy robotnik jest już dziś inżynierem, którego cechuje śmiałość decyzji, chęć wdrażania nowej techniki, wysoka moralność i partyjne zaanga..owanie. Te cechy się liczą. Taki człowiek jest szczególnie potrzebny, zwłaszcza w działalności organizacyjno-partyjnej. Leonid Breżniew zostaje w 1937 r. wybrany zastępcą przewodniczącego Komitetu Wykonawczego rady miasta Dnieprodzierżyńska, a w rok później partia powierza mu stanowisko kierownika wydziału Dniepropietrowskiego Komitetu Obwodowego KP Ukrainy. Wojna niemiecko-radziecka, pamiętny czerwiec 1941 r., zastaje go już jako sekretarza tegoż Komitetu.

Sekretarz chce walczyć z najeźdźcą, zwraca się do KC partii z prośbą o natychmiastowe skierowanie go na front. Gdy nadchodzi pozytywna odpowiedź, przywdziewa mundur, aby go już nie zdjąć do końca zmagań z hitlerowcami. Jako zastępca szefa Zarządu Politycznego Frontu Południowego i Wydziału Politycznego 18 armii, a następnie zastępca szefa Zarządu Politycznego 4 Frontu Ukraińskiego walczy i na Kaukazie i na Krymie. Zawsze jest na pierwszej linii, w samym ogniu bitwy. Raz ogłuszony pociskiem traci przytomność i omal nie ginie w odmętach morskich. Żołnierze ratują mu życie.

W 1943 r., gdy szala zwycięstwa zaczyna się przechylać na stronę ZSRR, kierownictwo partii chce go ponownie ściągnąć do Dniepropietrowska, gdzie też jest potrzebny. Leonid Breżniew dokłada wszelkich wysiłków, ażeby pozostać na froncie. Udaje mu się. Bierze udział w walce o wyzwolenie Czechosłowacji, Polski, Węgier, w batalii o Berlin. Później wielką nagrodą stała się możliwość uczestniczenia w pamiętnej defiladzie zwycięstwa w Moskwie. *Do dziś* — wspomina Leonid Breżniew — *przechowuję jak relikwię szablę, z którą maszerowałem przez Plac Czerwony.* W mundurze generała—majora, inaczej mówiąc — generała brygady.

Partia powierza mu teraz kierownictwo Komitetu Obwodowego w Zaporożu na Podkarpaciu, a następnie w Dniepropietrowsku. Z tego miasta wyjeżdżał na front jako sekretarz Komitetu Obwodowego. Wraca jako pierwszy sekretarz. Na krótko jednak, bo już po trzech latach czeka go nowe zadanie: w 1950 r. zostaje I sekretarzem KC Komunistycznej Partii Mołdawii, później zaś — po krótkiej pracy, już jako generał-lejtnant (odpowiednik generała dywizji) w Głównym Zarządzie Politycznym Armii Radzieckiej — I sekretarzem KC Komunistycznej Partii Kazachstanu. W tym czasie jest członkiem Komitetu Centralnego, zastępcą członka Prezydium (Biura Politycznego).

Kazachstan... Tutaj są największe obszary niezagospodarowanej ziemi, ogrom pracy, którą trzeba wykonać. Kierownictwo partii wie, że Leonid Iljicz nie zawiedzie. W republice w krótkim czasie powstaje 1600 nowych sowchozów i 400 kołchozów. Wczorajszy step zaczyna dostarczać krajowi zboża, mięsa, mleka. Jeśli w tym roku Kazachstan wyprodukował 26 milionów ton zbóż, to podstaw tego ogromnego sukcesu trzeba szukać właśnie w latach pięćdziesiątych...

Znakomity organizator powraca w 1957 r. do Moskwy. Teraz tutaj potrzebny jest jego talent. Wchodzi w skład Prezydium KC KPZR i zostają mu powierzone skomplikowane problemy rozwoju przemysłu ciężkiego i budownictwa, wyposażenia sił zbrojnych ZSRR w nowoczesną technikę i wreszcie realizacja programu kosmicznego.

Mijają jeszcze trzy lata i Leonid Breżniew zostaje wybrany Przewodniczącym Rady Najwyższej ZSRR. Na październikowym posiedzeniu w 1964 r. Komitet Centralny KPZR powierza mu stanowisko I sekretarza (od 1966 r. — Sekretarza Generalnego), które piastuje do dnia dzisiejszego.

Dalsze sukcesy Kraju Rad, zarówno na arenie wewnętrznej jak i międzynarodowej, już bardzo ściśle związane są z jego osobą.

Ten człowiek doskonale zna się zarówno na rolnictwie jak i na przemyśle. Komitet Centralny pod jego kierownictwem wytycza na jednym ze swych pierwszych posiedzeń plan długofalowej polityki rolnej, opartej na wielkich inwestycjach. Specjalizacja i koncentracja produkcji z roku na rok zaczyna przynosić coraz lepsze rezultaty.

W decyzjach gospodarczych przede wszystkim liczy się teraz nauka. *Doświadczenie dowiodło* — stwierdza Leonid Breżniew — *że ilekroć podejście naukowe zastępowane jest subiektywizmem i arbitralnymi decyzjami — błędy są nieuchronne, a niepowodzenia pewne.*

Zjazdy partyjne — XXIII, XXIV i XXV — wytyczają śmiałe programy. Polityka partii w oparciu o dotychczasowe osiągnięcia w rolnictwie i w przemyśle konsekwentnie prowadzi do polepszenia warunków życia ludzi radzieckich. Główne zadanie: dynamiczny i harmonijny rozwój produkcji, jakość i efektywność. Właśnie obecna pięciolatka ma być pięciolatką jakości i efektywności. Szybko będzie unowocześniana gospodarka, w pełni wykorzysta się wszelkie rezerwy.

A polityka zagraniczna Kraju Rad? Główny kierunek to stworzenie warunków do trwałego pokoju na całym świecie. *Nawet dziś, prawie trzydzieści lat po II wojnie światowej* — mówi Leonid Breżniew na Światowym Kongresie Sił Pokoju — *pługi rolników i koparki budowlanych często wygrzebują pociski i miny. Przypominają one wojnę i nadal zagrażają życiu ludzkiemu w czasach pokoju. A czyż tysiąckroć większe niebezpieczeństwo nie tkwi w ogromnych zapasach środków masowej zagłady nie mających precedensu w całej historii ludzkości?...*

Osobisty wkład Sekretarza Generalnego KC KPZR doprowadził do zawarcia szeregu porozumień międzynarodowych o ograniczeniu groźby lub zapobieżeniu wybuchowi wojny termojądrowej. Potwierdzona została nienaruszalność granic w Europie, nastąpiło wyraźne złagodzenie napięcia na świecie, a ogólnoeuropejska konferencja bezpieczeństwa i współpracy zapoczątkowała nowy etap w realizacji polityki pokojowego współistnienia.

O Leonidzie Breżniewie mówią:

WILLY BRANDT: — *...Pana Leonida Breżniewa poznałem i cenię jako człowieka, z którym można szczerze i otwarcie rozpatrywać także trudne problemy. Jego osobiste zaangażowanie w politykę odprężenia i współpracy sprawia, że wymiana poglądów z nim ma zawsze pozytywny skutek...*

VALERY GISCARD D'ESTAING: — *Pan Breżniew nie tyle obawia się wojny, ile kieruje nim głęboka i zdecydowana wola pokoju...*

My, w Polsce, dobrze wiemy, że w osobie Sekretarza Generalnego KC KPZR mamy niezawodnego przyjaciela. Za zasługi w wyzwalaniu ziem Polski Rada Państwa PRL przyznała mu Krzyż Wielki Orderu Virtuti Militari. Podpis Leonida Breżniewa widnieje pod układem o przyjaźni, współpracy i wzajemnej pomocy między Polską a ZSRR, podpisanym w 1965 r. Przywódca ZSRR kilkakrotnie odwiedzał nasz kraj, spotykając się zawsze z wielką sympatią całego społeczeństwa. *Nasza przyjaźń* — oświadczył Leonid Breżniew na VI Zjeździe PZPR w 1971 r. — *hartowała się w ogniu walk wyzwoleńczych, które czołowi przedstawiciele obu narodów toczyli z wyzyskiwaczami o wolność narodową i społeczną. Wspólnotę ich celów wspaniale wyraził przeszło sto lat temu wybity rosyjski pisarz i rewolucjonista, Aleksander Hercen. Podczas polskiego powstania przeciwko carskiemu uciskowi pisał on: „Jesteśmy z Polską, bowiem opowiadamy się za Rosją. Pragniemy niezawisłości Polski, bowiem pragniemy wolności Rosji". (...) Na zawsze minęły czasy, kiedy naród polski musiał się niepokoić o swą wolność i niepodległość, o integralność swojego państwa.*

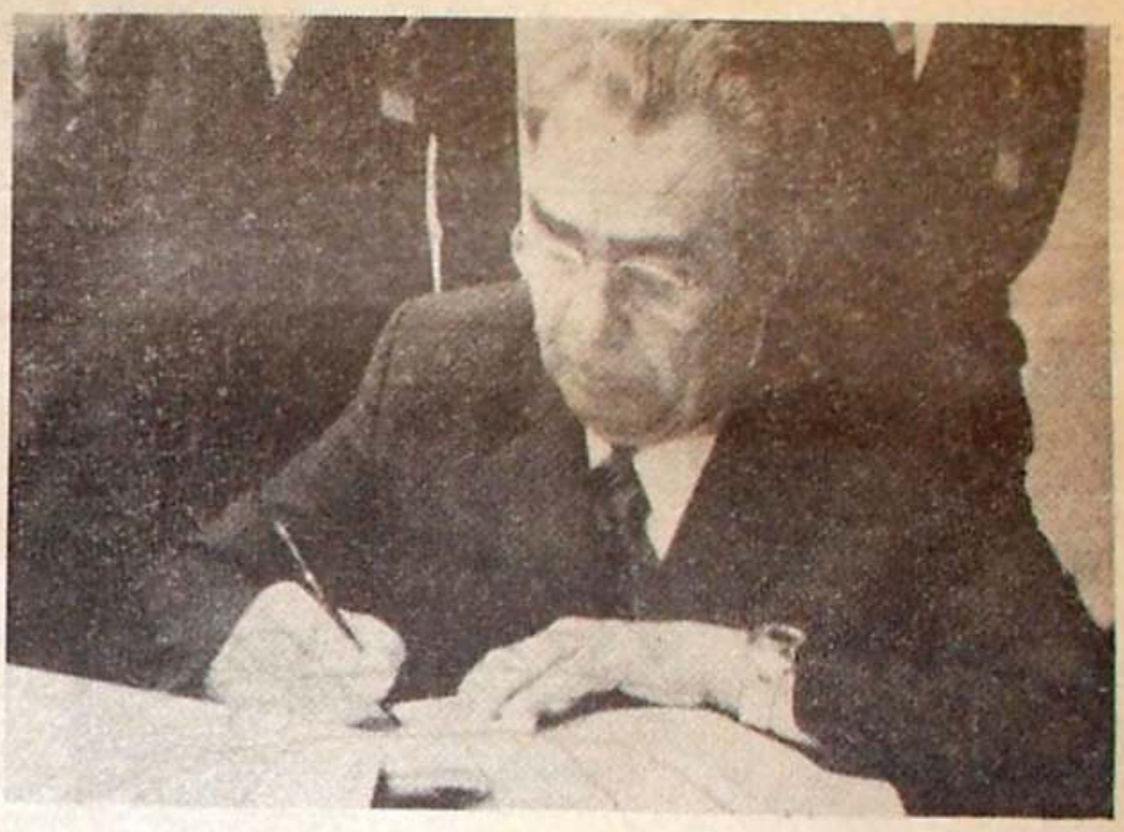

Fot. CAF — Unifax

Na zakończenie warto jeszcze nieco bardziej zbliżyć osobę Leonida Breżniewa. Jak piszą zachodni korespondenci, od wielu lat mieszka on w Moskwie w tej samej, starej kamienicy na Prospekcie Kutuzowa, blisko centrum, zajmuje pięciopokojowe mieszkanie. Ma dwie córki i jednego syna, inżyniera. Doczekał się już prawnuka. Do pracy wyjeżdża z domu około dziewiątej rano, wraca późnym wieczorem. *Widzicie* — tłumaczył się korespondentom „L'Humanite" — *kiedy pracuje się cały dzień, problemy nie chcą już opuścić głowy, kotłują się w niej. Szczególnie problemy tak wielkiego kraju. Kiedy ludzie na Południu składają reklamacje w sprawie letniej odzieży, trzeba jeszcze myśleć o futrzanych butach dla ludzi na Północy... Są sprawy wielkie i małe...*

Kiedyś Breżniew uprawiał sport: łyżwy, narty, rower, skoki spadochronowe. Teraz brak na to czasu. Jeszcze niekiedy pozostają polowania — wielka pasja i prowadzenie wozu. *Za kierownicą odpoczywam.* Przyznaje, że za dużo palił. Teraz stara się ograniczać.

Zwykły człowiek, pełen skromności. Sekretarz Generalny KPZR, Marszałek Związku Radzieckiego. Taki sam dziś, jak wczoraj, nie pozbawiony humoru, źle znoszący protokół dyplomatyczny, ale pełen osobistego czaru, łatwo umiejący nawiązywać kontakty ze wszystkimi ludźmi. I dobrze, nawet po latach, pamiętający twarze przypadkowych rozmówców...

W 70-lecie urodzin życzymy mu dalszych długich lat życia. Dla dobra pokoju. Dla dobra socjalizmu.

MAJ

NIEŁATWO ROZPOCZĄĆ STUDIA

Z PROF. DR. HAB. WIESŁAWEM SKRZYDŁO REKTOREM UMCS W LUBLINIE rozmawia Ireneusz J. Kamiński

— Na Uniwersytecie Marii Curie-Skłodowskiej kształci się prawie 18 tysięcy osób. Liczba pracowników naukowo-dydaktycznych, administracyjnych i personelu technicznego przekroczyła 3 tysiące. Kieruje Pan zatem dużym i skomplikowanym organizmem społecznym, pracując jednocześnie naukowo, wykładając na Wydziale Prawa i Administracji. Jak Pan godzi z sobą te funkcje?

— Jest to sprawa dziecinnie prosta: należy posiadać trochę dyscypliny wewnętrznej, odpowiednich współpracowników i zdolności organizacyjne. Po połączeniu tych elementów otrzymujemy środek na to, o co Pan pyta. Proste, prawda?

— Niezwykle. Wydaje się nawet, że jest to środek na wszystko.

— No, trochę zawodzi wobec konieczności dydaktycznych, których rygory stwarzają często kłopotliwe sytuacje. Ministerstwo zezwala co prawda rektorom na 50-procentową zniżkę wymiaru godzin, ale ja nie korzystam z tego. Lubię dydaktykę, a poza tym nie mam zamiaru wypaść z rytmu.

— Profesor Welento wyznał, że na uczestnictwo w życiu kulturalnym niewiele znajduje czasu. Ale Pan, humanista, który na dodatek przebywał niegdyś na stypendium we Francji i znany jest z tego, że sprzyja aspiracjom artystycznym studentów, no Pan to na pewno...

— Na pewno to nie mam czasu. Wstyd przyznać, ale dawno nie byłem na koncercie w filharmonii, choć lubię muzykę. Niestety, jestem rektorem. Uważam zresztą, że choćby z tego względu rektorem nie powinno się być za długo.

— Ale na jakimś spektaklu Konfrontacji Młodego Teatru był Pan zapewne?

— W tym czasie byłem, ale w sanatorium.

— Skąd wziął się Pan na uczelni?

— Podczas przygotowań do balu maturalnego w Liceum Staszica w Lublinie pani Paszewska wspomniała mimochodem, że na UMCS otwarto Wydział Prawa, którego dziekanem został profesor Aleksander Wolter. Interesowałem się prawem (i administracją), więc w tymże 1949 roku poszedłem na Plac Litewski i zacząłem studia w budynku Collegium Iuridicum, razem z czterema setkami innych osób. Studia były wówczas dwustopniowe: pierwszy ukończyłem w Lublinie, drugi — w Warszawie.

— A oceny z egzaminów?

— Czy to potrzebne? No dobrze: tylko „piątki" w Lublinie, „piątki" i bodaj dwie „czwórki" w Warszawie.

— Mój syn wyciągnął wnioski z programów oświatowych telewizji i nie wierzy mi, kiedy mówię, że byłem dobrym uczniem...

— To szantaż, proszę Pana, ale mogę pokazać indeks!

— Dziękuję, ja nie dlatego! Jak wówczas wyglądały te studia?

— Przede wszystkim nie mieliśmy podręczników. A większość kolegów, ludzi już dojrzałych, pracowała zawodowo, nie mogąc tym samym zbyt często korzystać z wykładów, co nie groziło zresztą jakimiś restrykcjami, ponieważ dyscyplina studiów była lekka. Szukając wyjścia z tej trudnej w końcu sytuacji, utworzyliśmy tzw. zespoły pomocy w nauce, skupiające do 20 osób; kierowałem szóstym. W czasie spotkań dyskutowaliśmy różne problemy i powtarzaliśmy materiał, co było szczególnie przydatne dla tych pracujących. Wydawaliśmy też powielane skrypty, redagowane na podstawie notatek czynionych w trakcie wykładów przez dwie — trzy osoby, dla dokładności, i sprawdzane przez asystentów lub profesorów. Czy Pan wie, ile ważył skrypt z prawa finansowego? Dwa i pół kilograma. A jak był poszukiwany przez różne instytucje lubelskie! Dlaczego? Przedmiot ten wykładał dyrektor departamentu w Ministerstwie Finansów.

— Właśnie: kadra.

— Dojeżdżająca z uczelni warszawskich lub krakowskich, albo „dochodząca" z praktyki, z instytucji pozaakademickich. Za asystenturę brali się adwokaci, sędziowie, prokuratorzy. Jak najlepsze wspomnienia zachowałem z kontaktów z profesorami Wolterem, Burdą, Seidlerem czy Halbanem. Stosunki między studentami a profesorami opierały się na wzajemnym zaufaniu, życzliwości, charakteryzowała je przy tym bezpośredniość. Gdzie te czasy, kiedy odbywały się faktyczne konsultacje, a studenci sami prosili o dodatkową literaturę.

— Dzisiaj studenci się uczą, a nie studiują — słyszałem.

— Może na matematyce, fizyce i chemii jest inaczej... Proszę sobie wyobrazić, że pewien kolejarz aż z Przemyśla dojeżdżał raz w tygodniu na wykłady.

— Czego Pan nie lubi, Panie rektorze? Tak naprawdę nie znosi?

— Sztuczności, nieszczerości. Mam zwyczaj mówić prawdę w oczy.

— I przez siedem lat pełnił Pan funkcję prorektora, a od 1972 roku jest Pan rektorem! Pocieszające.

— Ale tej szczerości jest u nas za mało.

— Do jakiego typu absolwenta zmierza dziś kształcenie uniwersyteckie?

— W dobie wąskiej specjalizacji wydaje się niektórym, że uprawnione jest produkowanie fachowców „od zginania drutu" i „od prostowania drutu". Moim zdaniem powinniśmy jednak kształcić ludzi o szerokich horyzontach myślowych, obdarzanych przez uczelnię zdolnością elastycznej adaptacji do nowej sytuacji, nowego środowiska. Czy szkoła w małym mieście, przykładowo, odniesie więcej korzyści tylko z historyka, czy też z historyka, który opanował umiejętność społecznego działania?! Żyjemy w czasach permanentnej modyfikacji czynności zawodowych, co kilka lat człowiek musi p r z e s t a w i a ć się w pracy. Kiedy pytają mnie, dlaczego tak popieram działania artystyczne studentów, odpowiadam: aby wyrosły z nich osobowości dojrzałe, zdolne do sprostania szybkiej i zmiennej rytmice współczesnego życia.

— Jeździ Pan po świecie, więc proszę powiedzieć, jak wyglądają studia uniwersyteckie w innych krajach, co je odróżnia od naszych?

— W krajach socjalistycznych panuje wielka dyscyplina: studiów i studentów, a przodowanie w nauce jest autentycznie cenione i odpowiednio premiowane. W Rumunii pierwszeństwo wyboru pracy najlepszej mają najlepsi absolwenci. Kto na liście wyników zajmuje, powiedzmy, pięćdziesiąte miejsce, nie otrzyma pracy atrakcyjnej finansowo, środowiskowo czy geograficznie, dającej możliwości niekłamanej satysfakcji, albowiem czeka ona na posiadacza czołowego miejsca. W Rumunii dobra nauka jest opłacalna, a system ten gwarantuje korzyści samej gospodarce narodowej. Innego rodzaju zachęty stosuje się we Francji, gdzie na przykład egzaminy końcowe z przedmiotów są publiczne. Zresztą studenci płacą tam za naukę.

— W tym roku przekroczyliście nieco limity przyjęć na 1 rok studiów...

— Egzaminy wstępne zdawało 5000 osób, przyjęliśmy około 1900.

— Coraz więcej ludzi pragnie studiować. Zdrowa tendencja, nie ma dwóch zdań.

— Tak, gdyby wiązała się z pragnieniem podnoszenia kwalifikacji. Ale znacznej grupie ludzi chodzi tylko o uzyskanie dyplomu, tytułu magistra, traktowanego przez nich jak święty znak nobilitacji.

— Jak herb?

— Właśnie. Już nie wystarcza ukończenie studiów zawodowych, dających absolutnie te same możliwości w miejscu pracy, co magisterium. Przemożne pragnienie ozdabiania się tytułami zmusza wielu do kontynuacji nauki, drogą wielkich nierzadko wyrzeczeń osobistych.

— A pamięta Pan takie hasło: „Nie matura, lecz chęć szczera zrobi z ciebie oficera"? Może sprawdza się właśnie drugi człon hegłowskiej triady dialektycznej... UMCS posiada dużo słuchaczy, ale jak przedstawia się sprawa kadry?

— Mamy około 400 doktorów, czyli sporo. Brakuje nam jednak kadry najwyżej kwalifikowanej, a więc profesorów i docentów, co jest zresztą zjawiskiem ogólnopolskim. W rezultacie na kierunkach eksperymentalnych na jednego profesora przypada 15—20 asystentów, co szalenie utrudnia prowadzenie przewodów doktorskich. Sytuacja zmienia się przecież na lepsze, m. in. dzięki rozwiniętemu programowi staży i stypendiów krajowych oraz zagranicznych. W tym roku na Wydziale Prawa i Administracji notujemy co miesiąc jedną nową habilitację. Na pytanie, czy to kwestia przypadkowej kumulacji, czy nie — odpowiemy sobie po naradzie, którą przygotowujemy na ten temat.

— W minionym roku akademickim pracownicy naukowi uniwersytetu opublikowali ponad 1300 artykułów i rozpraw, z czego 100 w czasopismach zagranicznych. Czy ta statystyka faktycznie charakteryzuje aktywność naukową waszej kadry? Pewien doktorant usiłował wcisnąć mi w redakcji trzystronicową, bezproblemową informację, argumentując przy tym, że jej opublikowanie zalicza mu do dorobku.

— Co Pan mówi?! To jakieś fatalne nieporozumienie, tam musiało chodzić o inne walory. Wspomniana statystyka: ujęcie ilościowe na pewno zaciemnia sprawę, nie określa wagi publikacji. Z rocznego spisu tych prac zamierzam wyrzucić te, które ukazały się w gazetach, oraz zweryfikować wydrukowane w czasopismach społeczno-kulturalnych.

— Czy zdarzają się jeszcze doktoraty na symboliczny już temat gry w palanta?

— Absolutnie nie. Dodam przy okazji, że coraz bardziej zwiększa się liczba prac doktorskich i habilitacyjnych prowadzonych w ramach programów badawczych resortowych i węzłowych. Takie ustawienie zapewnia korzyści wielostronne: autorowi i gospodarce.

— Czy na uniwersytecie pojawiają się wybitne i młode indywidualności naukowe? Na co dzień słyszy się stale te same nazwiska, z reguły związane ze starszym pokoleniem.

— Ta ostatnia uwaga może wiązać się z humanistyką. Natomiast na kierunkach eksperymentalnych, przyrodniczych, istnieją bardzo ambitne zespoły młodych ludzi, złożone z magistrów, a więc ludzi w s t ę p u j ą c y c h, którzy pod kierunkiem profesorów czy docentów, na przykład Waksmundzkiego czy jego ucznia — Szczypy, pracują nad problemami nie tylko skomplikowanymi i nowymi, ale także ważnymi dla niektórych dziedzin życia społecznego i gospodarczego. O jakości tych badań i ich zaawansowaniu niech świadczy fakt dość częstego kontaktowania się z zespołami przez niektórych ministrów.

— A starsza gwardia?

— Ciągle dostarcza powodów do satysfakcji, decyduje o randze uniwersyteckiej nauki. Świadczą o tym takie chociażby książki: Henryka Zinsa o historii Kanady, Adama Kerstena o dziejach Szwecji, „Przedmarksowska myśl polityczna" Grzegorza Leopolda Seidlera, „Historia Holandii" Jana Balickiego (wspólnie z M. Bogucką), „Jugosławia" Adama Malickiego, publikacje Andrzeja Burdy oraz prace Franciszka Uhorczaka z zakresu kartografii czy Jana Krzyża z matematyki. Dzieła G. L. Seidlera zostały przełożone na kilka języków, także rozprawa J. Krzyża na temat funkcji matematycznych ukazała się za granicą. Nie tak dawno pewien włoski naukowiec wręczył mi „Prawo cywilne, część ogólną" autorstwa Aleksandra Woltera. Ukazało się we Włoszech jako pierwsza polska książka prawnicza, przełożona po wojnie na język ofiarodawcy. Wspomnę jeszcze, że Mirosława Zakrzewska-Dubasowa pracuje nad historią Armenii, a warunkiem habilitacji z nauk biologicznych jest publikowanie w czasopismach specjalistycznych o randze ogólnopolskiej i w zagranicznych. Posiada też swoje znaczenie fakt, że wśród nagród przyznawanych przez naszego ministra rośnie liczba tych, którymi premiuje się właśnie książki.

— Przy końcu lat sześćdziesiątych uniwersytet zaczął uruchamiać Centralne Laboratorium Aparatury Unikalnej. Obecnie — zadowoleni jesteście z pracy tej placówki?

— Kierownictwo uczelni — tak. Użytkownicy — nie zawsze. Niektóre zakłady chciałyby posiadać takie aparaty i urządzenia pod ręką, a nas na to nie stać. Czeski mikroskop elektronowy kosztuje 1,5 miliona złotych i nawet w obecnej strukturze organizacyjnej nie jest wykorzystywany w optymalnym stopniu. Albo spektrometr rentgenowski — kosztował 4,5 miliona złotych. Majątek zgromadzony w Laboratorium wart jest około 15 milionów. Tego rodzaju placówka powinna mieć jednak zasięg środowiskowy, międzyuczelniany, ale trudno jakoś pozyskać dla tej idei zwolenników. A gdzie jest baza?! — pytają retorycznie realiści, bo czegoś takiego oczywiście nie ma. Co nie znaczy przecież, że nie mogłoby być.

— Ta sprawa wiąże się po trosze z sytuacją biblioteki uniwersyteckiej, w której coraz ciaśniej.

— Bo budynek mieści trzy i pół biblioteki. Nie doszło do planowanej integracji i każda z instytucji znajdujących się pod wspólnym dachem działa na własną rękę; administracja blokuje pokoje przeznaczone w projekcie na pracownie. W końcu przecież Akademia Rolnicza czy Wyższa Szkoła Inżynierska zbudują własne obiekty. Tymczasem należałoby utworzyć choćby centralny katalog wszystkich bibliotek, który w poważnym stopniu zracjonalizowałby korzystanie z księgozbiorów i ułatwił poszukiwanie potrzebnej książki. Nieraz o tym mówiłem.

— W domach akademickich też ciasno...

— Fakt. A na obszarze dzielnicy uniwersyteckiej można postawić tylko jeszcze jeden dom. Polepszy sytuację przeniesienie się Akademii Rolniczej na Felin, gdzie powstanie funkcjonalny ośrodek tej uczelni. Uniwersytet zyska na tym pokaźną liczbę miejsc w akademikach oraz trochę obiektów dla celów dydaktycznych i naukowych. Tymczasem w domach studenckich panuje ciasnota, po sześć osób mieszka w pokoju, co niedobrze wpływa m. in. na obyczaje. W takim ścisku uczyć się niepodobna, można natomiast grać w karty, co się robi. W akademikach pija się też alkohol: za dużo, bez kultury. Ja wszystko rozumiem, to są w końcu dorośli ludzie, ale w tym swoim „pociąganiu" nie znają często granic. Nie mam zamiaru udawać, że w środowisku studenckim wszystko jest cacy. Staramy się zresztą przełamywać złe obyczaje, licząc na pomoc organizacji młodzieżowych. Rzadko kierujemy sprawy na uczelniane komisje dyscyplinarne, uważamy bowiem, że wiele wykroczeń powinny rozpatrywać sądy studenckie.

— Przewodniczy Pan Radzie Naukowo-Programowej Polonijnego Centrum Kulturalno-Oświatowego, które istnieje przy uniwersytecie. Czy z tego faktu uczelnia ma jakąś konkretną korzyść?

— Nic poza satysfakcją, jaką daje praca społeczno-polityczna. I to nam wystarcza. Centrum rozwija się dobrze, stale otrzymujemy z zagranicy listy z podziękowaniami od uczestników różnych kursów polonijnych. Do mnie napisały na przykład zakonnice z USA.

— Kiedy przenosicie się do nowego, liczącego kilkanaście pięter gmachu rektoratu przy ul. Nowotki?

— Jeśli budowlani dotrzymają terminu, to przy końcu przyszłego roku. W budynku przy Placu Litewskim znajdzie się Instytut Wychowania Artystycznego, który w przyszłości przekształci się może w samodzielny wydział. Na wychowanie plastyczne (i na psychologię) stara się obecnie najwięcej osób. Przy okazji chciałbym poinformować, że w tym roku podczas egzaminów wstępnych na niektóre kierunki — psychologię i germanistykę — podnieśliśmy średnią ocen. Przyjęliśmy tylko tych kandydatów, którzy osiągnęli 4,5 i więcej.

— Niełatwo rozpocząć studia na Uniwersytecie Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie (jeśli pominiemy matematykę i fizykę, gdzie ciągły deficyt słuchaczy). Panie rektorze, dziękuję za rozmowę.

EXPRESEM PRZEZ CZTERY MIASTA (I)

WILNO I KOWNO

Maria Bechczyc-Rudnicka

Przedwojenny zaułek wileński

Fot. Archiwum

12 LISTOPADA br. prasa codzienna podała interesującą wiadomość, że tego właśnie dnia ma nastąpić w Moskwie otwarcie III Festiwalu Dramaturgii Polskiej, podczas którego 100 teatrów w całym Związku Radzieckim zaprezentuje publiczności 122 spektakle sztuk polskich autorów.

W całym Związku Radzieckim? Świetnie. Czternastego siedziałam już w pociągu „Narew", podążającym prosto — do Wilna, i radośnie podniecona, miałam w perspektywie jeszcze Rygę, Tallinn, Leningrad. Toteż niniejszą relację z podróży zacznę od wyrazów wdzięczności dla Zarządu Klubu Krytyki Teatralnej SDP, z jego prezesem, red. Romanem Szydłowskim na czele, który podjął zawczasu inicjatywę „wyjazdu szkoleniowego" dwudziestu pięciu krytyków na rzeczony, wybitnie atrakcyjny, festiwal. Pewno, że nie jechało się do stu miast, jeno do czterech — do rozporządzenia było dziewięć dni, koszta musiały być przystępne. Ale cóż za piękna trasa! Podziękowanie należy się również Zarządowi Głównemu Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej, z którym R. Szydłowski uzgodnił maksymalnie ciekawy program, oraz Biuru Turystyki Zagranicznej PTTK, które ów program wykonało zapewniając nam więcej wygód i wrażeń, niż przewidywał ramowy program dla naszej trasy.

Do Wilna przybyliśmy o godzinie siódmej z minutami wg czasu moskiewskiego (trzeba było przestawić się psychicznie na wcześniejszą o dwie godziny porę). Zakwaterowanie w hotelu I kategorii „Vilnius" (były „George"), natychmiast śniadanie, niebezpiecznie obfite, smaczne i już: „Prosimy państwa do autokaru na zwiedzanie miasta". Zapowiadał się nielichy maraton. Zapowiedź ziściła się: w każdym z czterech miast dwa dni i jedna noc, reszta nocy, plus blisko doba drogi powrotnej — w slipingu. Wyczyn nie lada. Prawdę mówiąc, wzrastaliśmy w dumę okazując tyle krzepy!

Wilno poznałam niegdyś bardzo powierzchownie. Nieżyjący już obecnie, mój drugi mąż, muzykolog Edward Wrocki, przywiózł mnie tu na święta Bożego Narodzenia 1938 r. do swoich krewnych. Dni upływały szybko, urozmaicone wspomnieniami rodzinnymi, poza tym mąż, namiętny zbieracz muzykaliów, przedkładał szperanie w antykwariatach nad rolę cicerone. W sumie najlepiej zachowała mi się w pamięci Ostra Brama z klęczącym na ulicy ludem. Teraz wspięłam się po schodach aż do kaplicy.

Wędrowaliśmy z ożywieniem starówką wileńską odnajdując miejsca Mickiewiczowskie, kolejne „adresy" wieszcza. Nastrój wytwarzało już samo odczytywanie tablic pamiątkowych. Zajrzeliśmy oczywiście do klasztoru Bazylianów, wyszukując wzrokiem okna celi Konrada. Postaliśmy na dziedzińcu Uniwersytetu (nawiasem mówiąc, miałam przed laty piękną starą rycinę z wizerunkiem tego

AFERA OBRAZKOWA W KAZIMIERZU

BEZ HISTERII PANOWIE!

W dniu 23 września br. komisarz pleneru Ryszard Lis przekazał Urzędowi Miasta i Gminy w Kazimierzu Dolnym 10 obrazów z pleneru, który odbył się w roku 1975 w Kazimierzu, z przeznaczeniem dla galerii sztuki współczesnej naszego Muzeum.

Z przykrością informuję, że ze względu na słaby poziom tych prac Muzeum nasze zmuszone jest zrezygnować z ich przyjęcia.

Dokument podpisany przez dyrektora Jerzego Żurawskiego trafił na początku października do Zarządu Okręgu ZPAP w Lublinie.

4 LISTOPADA w drewnianym budyneczku wzniesionym przez Karola Sicińskiego, gdzie dzisiaj mieści się dyrekcja kazimierskiego muzeum, pojawiła się czteroosobowa grupa w składzie: dwie panie z wojewódzkich instytucji kulturalnych plus dwóch artystów plastyków. Architekt wnętrz, Lucjan Węgorek, wyraził kilka opinii na temat postępku dyrektora muzeum, przetykanych pytaniem o kwalifikacje uprawniające do podjęcia decyzji odrzucającej wiadome płótna.

— Jestem historykiem sztuki, ćwierć wieku pracuję w muzealnictwie, odpowiadam za placówkę, którą mi powierzono — wyjaśnił mgr Żurawski. Po pewnym czasie goście opuścili budynek na skarpie i do dziś nie wiadomo, czy była to komisja urzędowa, czy wyprawa w czynie społecznym. A obrazy pozostały bezpańskie.

Rocznie odbywa się w Polsce kilkadziesiąt plenerów plastycznych, finansowanych przez państwo i stowarzyszenia społeczne oraz zakłady pracy. W najpiękniejszych rejonach kraju spotykają się malarze, rzeźbiarze, ceramicy. Koło Jeleniej Góry urządzono nawet plener dla akwarelistów. Są to imprezy kosztowne: organizatorzy zapewniają uczestnikom dach nad głową, stół, miejsce do pracy, materiały, wycieczki po okolicy, zwiedzanie fabryk. Organizatorzy płacą za to wszystko grube pieniądze.

Z zażenowaniem przypominam te fakty. Z niepokojem mówię o tych sprawach, ponieważ jakiś mały pragmatyk może zacząć szukać w tych zdaniach potwierdzenia dla swojej nieufności do sztuki, którą od dawna posądza o nadużycia, którą traktuje jak piątą gębę przy czteroosobowym stole, skromnie do tego nakrytym. Więc dla jasności stwierdzam, że opiekę państwa nad kulturą artystyczną uważam za rzecz tak nieodzowną, jak naturalną — jeśli zależy nam na zdrowiu moralnym i rozwiniętej wrażliwości humanistycznej społeczeństwa.

Ale nie jestem przecież ślepy i widzę, jak mądra idea bywa poniewierana w praktyce, także przez artystów. Uczestnicy pierwszych w Polsce plenerów musieli pozostawiać do dyspozycji organizatorów jedną z prac powstałych w trakcie spotkania na tzw. łonie natury. Obecnie również zostawiają, ale na zasadzie dobrej woli, dżentelmeńskiej umowy. Mam setki dowodów na to, że są to zazwyczaj prace o niskim poziomie, żeby nie powiedzieć — najgorsze ze zrealizowanych podczas pleneru. Magazyny BWA i innych instytucji zaangażowanych w sprawę wypełnia tandeta malarska, spod której z rzadka wyziera coś lepszego. Przed kilku laty mówiło się o katakumbach Ministerstwa Kultury i Sztuki oraz CBWA. Dzisiaj katakumby przebiegają pod wszystkimi województwami, także pod nowymi, które w zbożnym pędzie do awansu kulturalnego organizują jeden plener za drugim, zapraszając nań k o g o s i ę d a, kto posiada legitymację ZPAP.

Konkurencja na tym rynku jest tak duża, że pozyskanie jakiegoś znanego artysty na nowy i na ogół siermiężny plener jest niezwykle trudne. Te spotkania miały służyć rozwojowi sztuki, a w praktyce służą facetom, którzy usiłują uwieczniać koniki arabskie vel angielskie, twierdząc przy tym, że rozwiązują jakowyś p r o b l e m artystyczny. A ten problem sprowadza się często do tego, jakby tu jeszcze w tym samym roku „obsłużyć" drugi czy trzeci plener. Kłopot ów zdaje się przecież zmierzać do rozwikłania, albowiem urodzono już plenery zimowe. Maluczko, a tylko noce pozostaną nie wykorzystane...

Powtarzam: podarunki plenerowe plastyków nie mają większej wartości. I dodaję: bo w zasadzie inaczej być nie może. Nie istnieje w Polsce muzeum sztuki współczesnej. Muzea okręgowe z oporami kupują prace teraz powstające. Tylko jedno krajowe BWA — w Białymstoku — zdołało powołać galerię sztuki współczesnej, galerię z prawdziwego zdarzenia, dysponującą imponującymi salami wystawowymi w kształcie rotundy, fachowym personelem, możliwościami wydawniczymi. Ale jest to chyba najlepiej w tej chwili działające Biuro Wystaw Artystycznych w Polsce, może dlatego, że od wielu lat, od początku założenia instytucji, kieruje nim jeden i ten sam człowiek.

W tej sytuacji było oczywiste i nie pozostawało dla nikogo tajemnicą, że podarowane obrazy wędrowały z reguły do ciasnych magazynów lub za szafy różnych instytucji. Czasami formowano z nich tzw. zestawy dydaktyczne, krążące następnie po wsiach i małych miastach, gdzie z reguły upychano je po ciemnych, absolutnie nie przystosowanych klitkach. A w instytucjach, które nawet pofolgowały sobie wieszając płótna w pokojach urzędowych, popadały rychło w absolutną anonimowość. Zapytajmy zresztą publicznie, gdzie są obrazy zakupione w drugiej połowie lat sześćdziesiątych przez dawne Prezydia Powiatowych Rad Narodowych na Lubelszczyźnie?! Dawanie dobrych obrazów okazało się bezsensowne.

Obie strony — plastycy i mecenasi — przywykli w końcu do takiej zabawy, nie dostrzegając nawet jej głęboko niemoralnej istoty, która prowadziła do dyskwalifikacji sztuki. Więc kiedy dyrektor Żurawski powiedział: nie! — związek lubelski doznał szoku. Świadczy o tym pismo prezesa zarządu okręgu, Andrzeja Kołodzieja, skierowane do Ministerstwa Kultury i Sztuki 30 października tego roku. Czytamy tam m. in.:

Artyści rozumiejący społeczną funkcję sztuki właściwie ocenili koncepcję organizatorów gromadzenia dzieł dla galerii malarstwa współczesnego w mieście, którego tradycje artystyczne sięgają blisko 200 lat i nadal się rozwijają. Organizatorzy corocznych plenerów w Kazimierzu upatrywali w tej akcji zalążek przyszłych stale rosnących zbiorów — i słusznie, bo oto w roku 1976 artyści uczestniczący w plenerze podarowali z własnej inicjatywy następnych 12 obrazów na ten cel. Wzbudziło to wielkie uznanie gości obecnych na otwarciu wystawy plonów tegorocznego pleneru. Mamy zatem do czynienia z dobrą sprawą, a tymczasem dyrektor Żurawski nie chce przyjąć dzieł z ubiegłorocznej imprezy. Niepokoi nas nade wszystko metoda takiego postępowania. Złożoność problemów sztuki, jej wielowarstwowość wymaga wnikliwej, wszechstronnej analizy dzieła — jak również nakazuje powściągliwość przed wydaniem jednoznacznych sądów ●

dziedzica, przekazałam ją Muzeum im. Adama Mickiewicza w Warszawie).

Autokar wolno krąży po mieście. Sympatyczna młoda pilotka wymienia raz po raz, w języku polskim, godne uwagi zabytki. Restaurowane są bardzo pieczołowicie. Kilkakrotnie wysiadamy z naszego komfortowego wehikułu. Przede wszystkim, by obejrzeć przebogaty barokowy wystrój wnętrza XVII-wiecznego kościoła św. Piotra i Pawła, powstały pod kierownictwem włoskich rzeźbiarzy Perettiego i Galliego. Jeszcze więcej chyba zachwycił mnie subtelny gotyk kościoła św. Anny.

Na pustkowiach otaczających przedwojenne Wilno wyrosły obszerne nowoczesne dzielnice, budowane z zacięciem wielkomiejskim. Są to przestrzenie, na których autokar z największym powodzeniem wyręcza nasze strudzone już nogi.

Wilno ma obecnie pięć teatrów, lecz nie od nich zacznie się „wyjazd szkoleniowy" krytyków teatralnych. Po obiedzie, znów kuszącym do obżarstwa swą obfitością i smakowitością, nie może być mowy o przyłożeniu głowy do poduszki, by powetować nocne niedospanie: wsiada się niezwłocznie do autokaru i hej w drogę na Kowno (położone o 100 km od Wilna), gdzie mamy obejrzeć wieczorem w litewskim Teatrze Dramatycznym Brylowe „Paveiksleliai ant stiklo" (tłumaczyć, sądzę, nie trzeba?). Dotarliśmy do Kowna jeszcze o tyle wcześnie, że udało się dostrzec, jak dużo tutaj odnawiają i budują. Spojrzało się na Niemen, wyskoczyło z wehikułu pod szkołę, w której uczył Mickiewicz, i pobliski biały, narożny domek pani Kowalskiej...

„Na szkle malowane" wyreżyserował Wojciech Siemion, oprawił scenograficznie Adam Kilian, wkładając w swe dzieło dużo inwencji i dobrej woli. Zanim zaczął się spektakl, było oczywiście w hallu moc serdecznych uścisków. Dwie z naszych najmilszych pań, najbardziej operatywne, żwawo podstawiły Siemionowi mikrofon, do którego pan Wojciech mówił z werwą i z *ready wit*.

Dialogów, Bogiem a prawdą, nie rozumiałam, jako że ich polskie brzmienie nie jest obowiązującym tekstem klasycznym, ale można było dostrzec, iż widownia jest bardzo usatysfakcjonowana. Myślę, że gdyby aktorzy znad Niemna grali z temperamentem górali tatrzańskich, kto wie, może by to szokowało kowieńską publiczność, która w antraktach układnie spaceruje w foyer parami w koło, bez niesfornego gwaru naszych teatromanów. Mnie osobiście najbardziej się podobała aktorka grająca z fajerem starą gaździnę, a także kapitalny diabeł: poruszał on nader ekspresyjnie swą figlarną mordką, „obudowaną" przez scenografa czarną, zębatą paszczą, tudzież operował czerwonym ogonem — z całkiem dwuznacznym wdziękiem (w stylu naszych współczesnych obscenicznych inscenizacji). Udatnym pomysłem rezyserskim było też przeciwstawienie zgrabnemu, szczupłemu diabełkowi — zażywnej nieruchawej anielicy (— spasła się przecież na rajskim chlebie). Momenty niewinnego flirtu anielsko-diabelskiego były bardzo zabawne.

Podrzemując w półmroku autokaru, wróciliśmy niepostrzeżenie do Wilna — o północy. Tak minął dzień, spędzony z pożytkiem i przyjemnością. Jeden tylko feler: nie było czym popić sukcesu Siemiona, bo bar nam w hotelu zamknięto, a zapasy „domowe", zdaje się, zostały wyczerpane.

Nazajutrz — w planie wyjazd do Trakai (odległość jak z Lublina do Nałęczowa). Spauzowałam, tłumacząc sobie swoją gnuśność faktem, że już kiedyś podziwiałam wraz z mężem piękno jeziora w Trokach (potem grupa jątrzyła mój żal opisem cudów unikalnego na Litwie zamku). Trudno, trzeba było trochę poczytać, ponotować, popisać, rozejrzeć się za souvenirami dla przyjaciół w kraju. Z wielkim zadowoleniem nabyłam parę kompletów pocztówek z malarstwem M. Ciurlionisa. Niestety zabrakło nam w Kownie czasu na obejrzenie galerii obrazów tego genialnego litewskiego malarza i kompozytora, symbolisty, zmarłego w 1911 r. w wieku lat 36. Mówiono kiedyś o Czurlonisie, że dążył do syntezy muzyki i malarstwa nie w sensie muzyki programowej, która jest konwencjonalna. Czurlonis potrafił uzyskać malarstwo muzyczne, muzyka tworzyła w nim wizję świata, malując posługiwał się zasadami muzycznymi. Słusznie powiedział poeta rosyjski Wiaczesław Iwanow, że wrażenie wzrokowe jest dla Czurlonisa ekwiwalentem tematu muzycznego i analogicznie się rozwija. Kiedyś przed wojną napisałam o Czurlonisie specjalny artykuł. Dziwi mnie, że tak mało u nas interesują się tym wysoce oryginalnym artystą.

W drugim dniu wileńskim spotkaliśmy w naszym hotelu grupę aktorów warszawskiego Teatru Narodowego, byli już po Hanuszkiewiczowych spektaklach „Wesela". Powitałam się wylewnie ze Stasiem Pawlukiem i jego żoną, utalentowanymi twórcami podkładów muzycznych do wielu sztuk, jeszcze bodaj dwa lata temu w naszym Teatrze im. J. Osterwy.

Wieczorem oglądaliśmy w Państwowym Rosyjskim Teatrze Litewskiej SRR spektakl z repertuaru rozrywkowego: Simenona „W podziemiach Hotelu „Majestic", w adaptacji I. Bacera. Osobiście, wolę czytać powieści Simenona w oryginale, po francusku. Cenię w nich świetną warstwę obyczajową, która rzecz prosta zanika w kolosalnym skrócie dramaturgicznym. Jednak, gdy się rozumie dobrze język rosyjski, śledzi się poczynania komisarza Maigreta z zainteresowaniem, zwłaszcza, że ma on dobrego interpretatora w osobie zasłużonego artysty Litewskiej SRR M. G. Jewdokimowa.

Znakomicie się spisała w epizodycznej roli upadłej do poziomu prostytutki, byłej tancerki Zizi, T. L. Majorowa.

Rosyjski Teatr Dramatyczny LSRR właśnie obchodził (kiedyśmy byli w Kownie) 30-lecie swego założenia. Zamiast spektaklu urządzono wieczór jubileuszowy. Następnego dnia, przeglądając wydawany w języku polskim „Czerwony Sztandar", natrafiłam na obszerny wywiad z dyrektorem, zasłużonym działaczem sztuki Litewskiej SRR, Nikołajem Trusowem. Okazuje się, teatr ma w dorobku 220 premier. Dziś na jego repertuar składa się 20 sztuk. Grano m. in. z dużym powodzeniem „Otella", Gorkiego „Mieszczan", „Szlacheckie gniazdo" Turgieniewa, Ibsenową „Norę", Brechta „Pana Puntillę..." Majakowskiego „Pluskwę", „Potęgę ciemnoty" Lwa Tołstoja, „Idiotę" Dostojewskiego, niedawno „Cztery krople" Rozowa (zamierza to wystawić nasz teatr lubelski). W próby wchodzi głośny u nas „Punkt widzenia" Szukszyna, pracuje się nad inscenizacją „Martwych dusz". *Z dzisiejszym widzem trudniej jest rozmawiać* — powiedział dyr. Trusow — *Po prostu nie działa na niego przedstawienie zrobione tylko z zawodową rutyną. Musi być nacechowane hazardem, pasją, przemawiać ze stanowiska ideowej wspólnoty dramatopisarza, reżysera, aktorów.*

Analogiczną konkluzję nasuwały informacje podawane nam na konferencji, na której spotkaliśmy się z przedstawicielami władz kulturalnych, z dyrektorami, reżyserami, aktorami teatrów LSRR, z przedstawicielami prasy. W ostatnich latach w Litewskiej SRR pokaźnie wzrosła liczba młodych dramatopisarzy, utrzymujących ściślejszy kontakt z teatrami. Wykorzystałam sposobność do krótkiej rozmowy z p. Ireną Rymowicz, reżyserką Polskiego Zespołu Teatralnego przy wileńskim Pałacu Kultury Kolejarzy. Pani I. Rymowicz często wyjeżdża do Polski na oglądanie nowości teatralnych. M. in. podobała się jej warszawska inscenizacja „Białego małżeństwa".

Szkoda, że czas nie pozwolił nam trafić na spektakl w Akademickim Teatrze Opery i Baletu, lecz wnętrze wspaniałego gmachu, jego wyposażenie udało się obejrzeć.

We wtorek szesnastego, po teatrze, walizki do hallu! O godzinie 23.30 mamy pociąg do Rygi.

O Rydze w ciągu dalszym.

---

jego wartości. Takie postępowanie winno obowiązywać szczególnie tych wszystkich, których opiece powierzono dobra kultury narodowej. Ciąży na nich bowiem zarówno moralna jak i prawna odpowiedzialność przed społeczeństwem. Subiektywne sądy nie mogą warunkować nieodpowiedzialnych decyzji dyrektorów muzeów, czy konserwatorów.

Pouczono Żurawskiego wszechstronnie, lecz po takim dictum powinien właściwie do szkół wrócić. Dziwne przy tym, że wskazując na niebezpieczeństwo subiektywnych sądów, nie wspomniano słowem o tym, że darowując obrazy artyści także kierowali się subiektywnym przekonaniem. Nie likwiduje problemu wzmianka, że *obrazy sygnowane są bowiem nazwiskami znanych artystów malarzy.* Najlepszy fachowiec miewa momenty słabości, a legitymacja związkowa nie kreuje artysty. Zresztą z tymi „nazwiskami" też problem, ale dajmy temu pokój. Człowiek naiwny dochodzi w tym miejscu do wniosku, że najlepszym sposobem wyjścia z manowców nieszczęsnego subiektywizmu byłoby ponowne rozpatrzenie sprawy obrazów przez powołanie kwalifikowanej komisji. Takiej propozycji nie spotykamy jednak w elaboracie, czytamy natomiast uwagę o niemożności wytłumaczenia sobie *nonszalanckiej pewności siebie dyrektora Żurawskiego.* Bo też w tej całej historii nie tak bardzo chodzi o obrazy, co o groźny dla poniektórych precedens.

Oto po raz pierwszy w Polsce adresat zajrzał koniowi w zęby i odesłał go do boksu, tym samym łamiąc reguły gry w pozory. Na tym właśnie fakcie koncentruje się uwaga plastyków, którzy tylko mimochodem muskają sprawę jakości obrazów, sprawę o kapitalnym znaczeniu przecież. Ale co będzie, jeśli inni pójdą w ślady Żurawskiego i zaczną uważniej przyglądać się darowiznom, strach powiedzieć! Więc dalejże negliżować faceta, kwestionować jego kompetencje i morale, jakby fakt sprawowania funkcji dyrektora muzeum nie uprawniał do zajęcia stanowiska w kwestii leżącej w polu najżywszej uwagi placówki chroniącej wartości artystyczne. Przy okazji w całej okazałości doszła do głosu stara, zramolała mitologia artystów, która każe im uznawać się za istoty nieomylne i parnasowe. Owszem, zgadzam się, że konkretny twórca ma pewne prawo do narcyzmu, choć bywa to kłopotliwe dla otoczenia, odmawiam jednak takiego prawa organizacji artystycznej, która powinna postępować racjonalnie i realistycznie, bo w przeciwnym przypadku utraci autorytet społeczny. A co sądzić o związku, który w piśmie do wysokich władz politycznych i państwowych — jak wynika z „do wiadomości" — zwiększa wbrew faktom liczbę oferowanych obrazów o dwa, odejmuje i dodaje autorów — aby tylko zwiększyć wagę swych argumentów i zapędzić przeciwnika do rogu?!

Kiedy zrelacjonowałem historię członkowi jednej z sekcji Zarządu Głównego ZPAP w Warszawie, zapytał krótko: — To dlaczego nie przekazali obrazów innej instytucji, która wzięłaby je z podziękowaniem, na przykład szkole?! Zacząłem ufać zarządom głównym.

Plastycy lubelscy uznają, że podłożyłem im świnię, albowiem oni właśnie zwrócili się do mnie ze sprawą. Ale innego stanowiska zająć nie mogłem. Tym bardziej, że oferowane obrazy są rzeczywiście nieprzeciętnie przeciętne, a połowa nadaje się na wzór żałosnej nieporadności. Coś mi się zdaje, że Żurawski zna się na malarstwie.

Wyciągnijmy wnioski z tego incydentu, a uradujemy Sztukę.

IJK

P.S. Dyrektor Żurawski proponuje, aby obrazy do galerii muzealnej kwalifikowała specjalna komisja, wybierająca dzieła z wystawy popleneroweJ, co gwarantowałoby odpowiedni poziom zbiorów w mieście o 200-letniej tradycji artystycznej. I żeby przekazywanie płócien odbywało się uroczyście. Żurawski nie chce prezentów byle jakich. Jeśli propozycja nie zostanie przyjęta, to on nawet zacznie kupować obrazy od uczestników pleneru, tak jak obecnie kupuje od różnych artystów związanych dziś z Kazimierzem twórczością, lub od rodzin zmarłych malarzy nadwiślańskich.

5 lat temu zmarł Zenon Kononowicz, wybitny malarz, zajmujący się także grafiką, człowiek, o którego postawie twórczej można powiedzieć tylko jedno: uczciwa. Najpiękniejsze obrazy namalował w Kazimierzu Dolnym, gdzie od lat miał pracownię.

Fot. J. Urban

Ryszard Kornacki

KONTEMPLACJE

tak ciężko
gdy kret bezsenności
drąży nam ciała
i niepokój
który pochodzi z miłości
topi resztki snu

zapatrzeni w ocean sufitu
krążymy amfibią myśli
okiem szeroko otwartym
drapiemy się
na obojętne ściany słów
spadamy w beznadziejność
potarganej pościeli
rozdarci
na wszystkie drgnienia nocy

czasem tak trudno
uwierzyć w życie
jeszcze trudniej
w śmierć
ona
leciutko łaskocząc nas
w pięty
nieśmiało przypomina o sobie

Zbigniew Włodzimierz Fronczek

* * *

Dziwnym zbiegiem drzew
las
przysiadł na pagórku
Dawniej panoszyły się w nim lisy
teraz tylko echo
Dziadek wytrzebił wszystkie lisy
Ogon ostatniego nosi ciotka Wanda
Ja muszę wytrzebić echo
Los echa został więc przesądzony
Zginie wraz z ostatnim drzewem lasu
które będę wyrywał po kolei
jak zęby ze szczęki

I TU SĄ REZERWY

MÓWIĄC o poszukiwaniu rezerw mamy zazwyczaj na myśli rezerwy materiałowe, energetyczne. Surowiec i siłę napędową. Mało natomiast zwracamy uwagi na rezerwy wynikające z prawidłowego ukształtowania stosunków międzyludzkich. W danym zakładzie pracy, w danym środowisku. Tych nie da się wyliczyć metrami ani amperami, ale jeśli chodzi o efekt skutkują one w sposób nie mniej widoczny. Lepiej pracuje się w atmosferze spokoju i wzajemnego poszanowania, w warunkach, w których zasługi pracownicze mierzone są jedną miarą.

Pojęciu prawidłowych stosunków międzyludzkich towarzyszy dziwna interpretacja. Traktuje się je jak niepisany paragraf ulgowy w stosunku do pracownika, który popadł w konflikt z kierownictwem i grożą mu przykre konsekwencje. Wtedy „stosunkami międzyludzkimi" operuje się chcąc wybronić delikwenta, który wprawdzie dał się ponieść chwilowej emocji, ale przecież jest pełen dobrej woli i przydatności w zawodzie. „Stosunki międzyludzkie" w tej interpretacji to koło ratunkowe dla tonącego, który z własnej, czy niezupełnie z własnej winy wypadł za burtę.

Takie pojmowanie pojęcia przyznaje mu właściwość antidotum przeciw rygoryzmowi wymagań, w skrajnym przypadku czegoś w rodzaju „karty bumelanta" mającej „jeszcze ten jeden raz" załagodzić ostrze konfliktu. Tymczasem ani o obronę pracownika, ani o atak na kierownictwo tu nie chodzi. Nie chodzi w ogóle o incydentalne traktowanie zagadnienia. Nie potrzebuje zdarzyć się aż stan wojenny, by nabrała aktualności kwestia, jak w danym zakładzie pracy układa się współżycie między pracownikami. Czy jest to wzajemne czyhanie na potknięcie się, czy gotowość rzeczowego partnerstwa? Stawka na inteligencję, pracowitość, zaufanie, czy szkodliwy, choć w niedrastycznych formach objawiający się „tumiwisizm"?

Wraz z wieloma przeobrażeniami cywilizacyjnymi przychodzi czas po temu, aby nienaganność w pracy w sensie „tylko nienaganność" była kwalifikacją ujemną. Nie można swoich zainteresowań realizować nienagannie. Realizuje się je z pasją. Jeśli jednak z pasją mają być wykonywane obowiązki zawodowe, potrzebna jest do tego atmosfera otwarta na wszelkie przejawy inwencji, umiejętności, zdrowego krytycyzmu. Jeśli mówimy o warunkach, w których się lepiej pracuje, to nie dla jakiegoś psychicznego komfortu, który pracownikowi nie jest potrzebny, ale dla większej skuteczności podejmowanych przedsięwzięć. Dla koniecznego w pracy poczucia satysfakcji z dobrze spełnionego zadania. Z trafnej tego spełnienia oceny.

Tam, gdzie możliwość tej satysfakcji nie jest — chciałoby się powiedzieć — elementem planowania produkcji, dochodzi nie tylko do rozminięcia się z założeniem ustrojowym, ale do zmarnowania energii społecznej. Prawidłowy układ stosunków międzyludzkich to nie coś przygodnie towarzyszącego procesowi wytwarzania. To jeden z zasadniczych czynników wydajności pracy.

Doganiać kraje wysoko rozwinięte. Ale również wysoko rozwinięte społeczeństwa. Sam przyrost dóbr kulturalnych nie zaświadczy o wysokim kulturalnym standardzie. Nie zależy nam na wytworzeniu społeczeństwa konsumpcyjnego, w którym zaspokojenie z taką czy inną nadwyżką prymarnych potrzeb życiowych jest celem wystarczającym. Praca wytwarza również wartości psychiczne. Ta postać edukacji narodowej jest szczególnie cenna, bo uczy właściwej postawy obywatelskiej, w praktycznym egzaminie sprawdza wartość jednostki. W pokojowej rywalizacji dwóch systemów na świecie decyduje nie tylko „ile", ale również „jak". Przy czym to „jak" nie dotyczy samej jakości towaru. Dotyczy również treści humanistycznych w trakcie wykonywanej pracy powstających.

W zależności od tego jaki komu w dyskusji argument jest potrzebny, raz system kontroli pracy w warunkach kapitalistycznych podaje się jako godzien uwagi dzięki swej skrupulatności, raz jako wyniszczający pracownika. Ten dylemat w socjalistycznej produkcji nie istnieje. Należy wytworzyć taką atmosferę, by miernikiem pracy oprócz produkcyjnego efektu była jej zdolność wytwarzania zaangażowań osobistych. Tak powstaje spoistość więzi społecznej. Zarobek jeśli nie towarzyszy poczuciu zawodowej satysfakcji staje się czynnikiem konsumpcyjnego stosunku do życia jako jedynej życiowej postawy. Nie marzymy o społeczeństwie właścicieli Fiatów, dla których głównym problemem jest zmiana olejów na zimę.

Humanizacja. Ten termin w odniesieniu do wszystkich dziedzin naszej rzeczywistości stał się często używany, i słusznie. Kiedyś mówiło się „humanizm". „Humanizm" jednak zanikł jako że łączył się z pewnymi obyczajami w myśleniu i odczuwaniu, które acz nobliwe, stały się przez odmianę czasu anachroniczne. Jak nieprzydatna jest dziś łacina. Szacowna, ale — cóż poradzić — nieprzydatna. Natomiast humanizacja, czyli tworzenie rzeczywistości służącej człowiekowi, jest specjalnie dziś jako wezwanie aktualna. Dziś właśnie, kiedy człowiek jest narażony na uwikłanie się w przerostach cywilizacji technicznej, która niekoniecznie w swej postaci supernowoczesnej daje znać o swoich uciążliwościach. Dość wspomnieć o zagrożeniu środowiska naturalnego. Humanizm — to znaczy tworzyć takie warunki pracy i egzystencji, w których człowiekowi jest łatwiej żyć, w których odczuwa on zadowolenie ze swego udziału w życiu społecznym. Nie samo bhp, nie sam portfel udogodnień socjalnych. Znajdować potwierdzenie własnej osobowości w tym, co się robi. Czuć wartość własną przez zapotrzebowanie na swój udział w działaniu zbiorowym.

W chwili bieżącej wyraża się szczególna potrzeba partnerstwa między opracowaną strategią rozwoju gospodarczego, a siłami wytwórczymi narodu. Poszukujemy rezerw. Poszukujemy ich nie tylko w maszynach, urządzeniach technicznych, źródłach energii i zasobach materiałowych. Poszukujmy ich również w nas samych, w swoim stosunku do pracy, w dyspozycjach psychicznych, w mobilizowaniu kwalifikacji organizacyjnych. W człowieku.

KOZIDRAKOWIE

Maciej Podgórski

Feliksa i Antoni. Zdjęcie ślubne

STARSI państwo opowiadają swoje długie życie bardzo krótko. Ciężko było raczej, mieli sześcioro dzieci, z których dwoje zaraz zmarło, potem wojna i po wojnie. Z potomstwa najstarszym jest 54-letni Józef, następnie 52-letni Zdzisław, 48-letnia Sabina i 44-letni Marian. To drugie pokolenie ma już dorosłe dzieci, które z kolei też mają dzieci. Tak że Feliksa i Antoni doczekali się sześciorga prawnucząt, a w tym roku otrzymali medal za długoletnie pożycie małżeńskie. Uroczystość odbyła się w ratuszu lubelskim, gdzie pito szampana i przemawiał jeden z wiceprezydentów miasta.

Feliksa i Antoni Kozidrakowie pobrali się w 1919 roku. Ona jako 20-letnia panna on jako 24-letni kawaler. Czyli to już mija 57 lat wspólnej drogi. Feliksa pochodzi z Kurowa, jej ojciec był szewcem. Antoni pochodzi z Markuszowa i sam był szewcem. Małżonkowie zamieszkali w Markuszowie, w jednej izbie drewnianego domku, gdzie przeżyli przeszło 50 lat i gdzie urodziły się wszystkie ich dzieci.

Kurów od Markuszowa dzieli pięć kilometrów szosą i to były przed wojną dwutysięczne miejscowości, które nie posiadały zbytnich zalet, mieszczanie zajmowali się uprawą ziemi, handlem, no i szewców było bardzo dużo, a w Kurowie ponadto kuśnierzy. Kurów był takim rozjazdowym miasteczkiem, stamtąd chodziły furmanki do Puław, gdzie odbywały się jarmarki.

Więc Antoni klepał buty. Jak dobrze przysiadł, to i ze trzy pary dziennie, a buty kosztowały wówczas trzy, cztery, pięć złotych. Chłopskie buty i dla okolicznego mieszczaństwa. Bo na jarmarki jeździło się nawet do Ostrowa Lubelskiego czy do Niedrzwicy Dużej, a nie tylko do Puław. Feliksa sprzedawała te buty. Józef, syn najstarszy, zanim wyszedł na lekcje do siedmioklasówki markuszowskiej, musiał matce zanieść koszyk butów do Kurowa. 10 kilometrów w obie strony, koszyk zaś ważył z piętnaście kilo. Takiej bidy znowuż nie było, ale zupa się naganiało przeważnie, no i cała czwórka dzieciaków spała w jednym łóżku.

W te szczegóły wtajemnicza mnie właśnie Józef, kiedy się rozluźniamy miodem pitnym pod sernik i szarlotkę w lubelskim mieszkaniu przy ulicy Lipowej. Józef przed samą wojną chciał pójść do szkoły podoficerskiej w Nisku. Zdał egzaminy lecz go nie przyjęto. Przed wojną to trzeba było tak: musiał ktoś poręczyć za kandydata na zawodowego żołnierza jakiś ksiądz czy dziedzic. A w papierach Józefa było napisane: syn szewca z Markuszowa.

Autorka tych wierszy wyjechała w ramach łączenia rodzin do Republiki Federalnej Niemiec. Mieszka w Muenster. O jej losach pisałem szczegółowo w „Kamenie" przy końcu ub. r. W dalszym ciągu zajmuje się poezją, tworzy w języku polskim. Oto kilka jej ostatnich utworów.

(MAJ)

Hanna Terpiłowska

DZIEŃ

Za moimi plecami dzień garbi się
czas opowiedziany człowiekiem

w nim
słowo dopada mnie kruszyną soli
drzwi skrzypią na zawiasach zmroku

jestem człowiekiem
dzień – przezroczeniem

Waldemar Dras

POETA

może jeszcze ja zobaczę
jak mnie pieści fala
chociaż piachu w oczach
więcej jak na dłoni
kiedy bałwan z białą grzywą
wściekły się oddala –
taki ogień
że się trzyma
taki ogień
w moje oczy
może jeszcze ja zobaczę
kiedy weźmiesz mnie za rękę
i rzucimy się do brzegu
w ustach naszą nieść piosenkę

Kazimierz Jan Furman

NIE STRZELAĆ

Zatrzymać czas na cięciwie łuku
życie powiesić na tarczy
i strzelić
To nic
że trudno umierać
to nic
że trudno jest trafić
że koniec odwagi przed sobą
i niemoc

Zatrzymać czas na cięciwie łuku
życie powiesić na tarczy
przed sobą
i mieć odwagę
nie strzelić

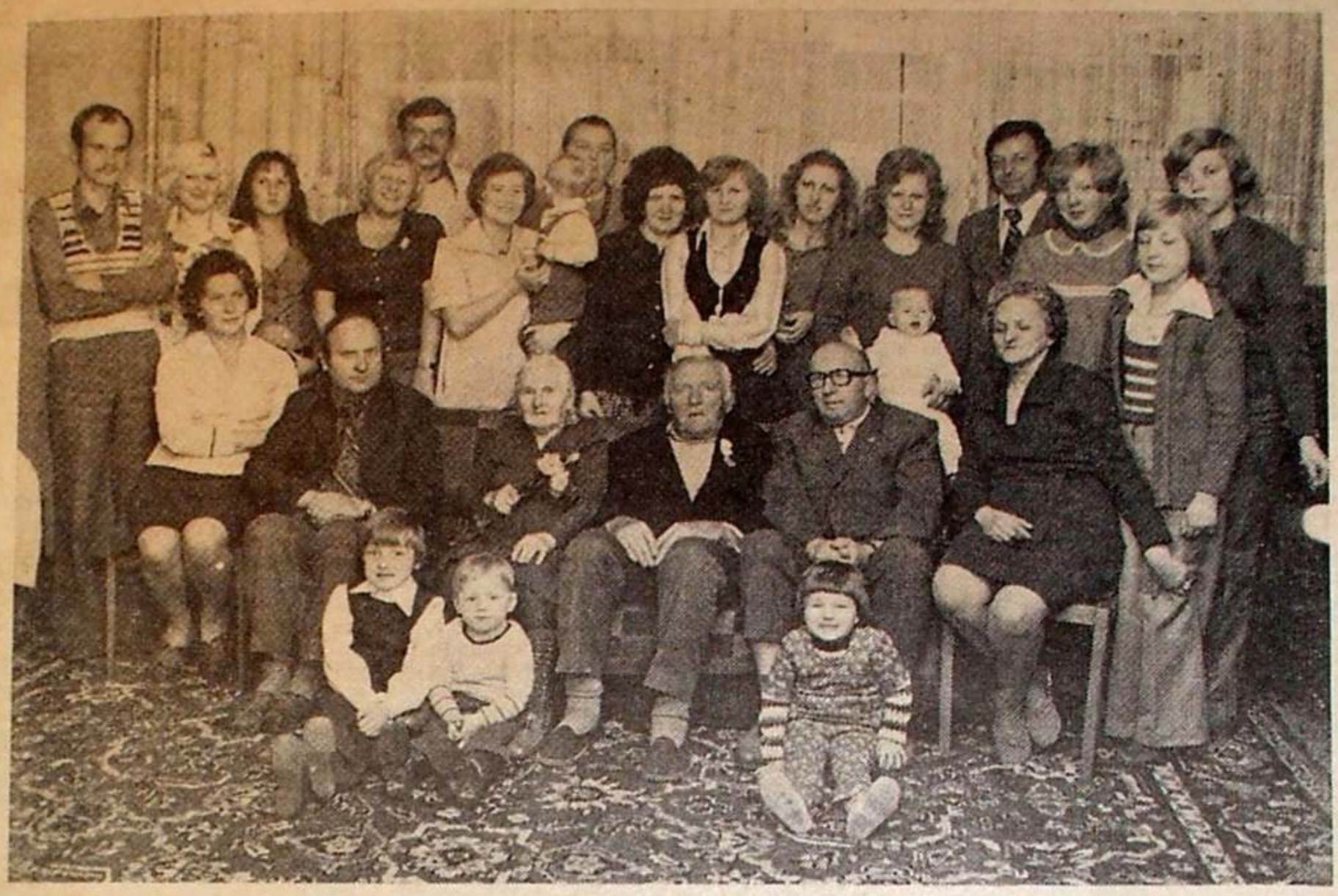

Fot. Zb. Jaśkiewicz

Kto za takiego poręczy? Kiedy przyszła odmowa ze szkoły podoficerskiej, Józef się popłakał, ale musiał poprzestać na swoich siedmiu klasach. Zresztą on się już przyuczał prywatnie do zawodu elektryka u jednego gościa, co jak puszkę łączył, to się odwracał i zasłaniał, żeby uczeń za szybko tajników fachu nie poderwał. Biedaka dziecko w ogólne nie powinno się rodzić. Ale Józef w końcu fach opanował.

Wybuchła wojna i Józef poszedł do konspiracji, a potem go Niemcy zamknęli w Lublinie. Kto ma żelazny tyłek, ten ma papierowe kraty, kto ma papierowy tyłek, ten ma żelazne kraty. Męczyli go, nie przyznał się, w końcu wypuścili... Podczas okupacji ojciec Józefa nadal robił buty, a matka je sprzedawała.

Po wojnie Józef stanął do roboty w państwowej firmie budowlanej w Lublinie jako elektryk, każdy fachowiec był wtedy na wagę złota. Zaczął ściągać rodzeństwo do Lublina. Zdzisława, z którym pracowali w jednej firmie i który się też wyuczył na elektryka, praktyką się wyuczył. Mariana, który poszedł do szkoły lubelskiej. Zdzisław i Marian wówczas mieszkali razem na sublokatorce. Józef osobno, bo już był żonaty i dzieciaty. W końcu i ojciec szewstwo rzucił poszedł pracować do firmy Józefa jako pomoc elektryka. Chodziło o to, żeby ojcu wyrobić rentę państwową, której teraz otrzymuje około 2000 złotych miesięcznie.

Tak że oni teraz wszyscy mieszkają w Lublinie, poza Sabiną, która z mężem i dziećmi mieszka w Świdniku i tam pracuje jako robotnica w WSK. Stosunkowo najlepiej poszło w życiu najmłodszemu — Marianowi, co się już po wyzwoleniu w innej Polsce kształcił, aż się wyuczył na technika budowlanego, kieruje budowami, niedawno skończył domek swój na Ponikwodzie i zabrał do siebie rodziców z Markuszowa. Ale i reszta ma przyzwoite mieszkania, dzieci, jak mogła, tak wykształciła. Nie żeby zaraz studia, bo co dają studia? Lecz technika większość dzieci pokończyła, część zasadnicze szkoły zawodowe, zaś 20-letni syn Mariana to nawet studiuje na UMCS.

Józef strasznie ciężko pracował w życiu żeby się czegoś dorobić. Słup, który musi sześcioosobowa brygada stawiać, on sam potrafił ustawić. Pyk, pyk i słup stoi. Miało się tej siły trochę. I ciągle w terenie, różne budowy, barakowozy, wynajęte kwatery, teraz pracuje na miejscu, w MZBM, już się trochę postarzał i siły nie te, ale jeszcze dobrze pamięta, jak robił odgromowkę na dachu i w dwie godziny potrafił 50 gwoździ zrobić po 3,80 złotego za sztukę. Przyjechał normowszczyk, jakiś dyrektor, dziwili się, dziwowali: panie Józefie, pan to jest zdrowy chłop i pieniądze pan bierzesz za to, co się należy! Wypili wtedy nieco na to konto. Tak, zarabiało się wówczas, ale i były potrzeby, czwórka dzieci. Lecz i teraz te cztery tysiące Józef zarobi, a jego żona około dwu, ponad dwa, w waflarni „Społem".

Mieszkanie przy ulicy Lipowej, w którym siedzimy i rozmawiamy, zakąszając sernikiem, dostał Józef z firmy budowlanej jak tylko ukończono ten dom. Dwa pokoje z kuchnią, otrzymane osiemnaście lat temu, zaludnia Józef Kozidrak z małżonką, trzema córkami-mężatkami i synem-kawalerem. Jak się żyje? Ano jakoś tam idzie. Córy pozapisywane do spółdzielni mieszkaniowej, będą szły na swoje. Są i kłopoty. Najmłodsza córka była kelnerką, w „Powszechnej", zresztą jego córki w ogóle ulubiły sobie branżę gastronomiczną. Więc była kelnerką. Poszła na urlop macierzyński, wpierw płatny, potem bezpłatny. Rok nie pracowała, wróciła do pracy, to jej proponują stanowisko pomocy kuchennej. Z tym samym wynagrodzeniem, co poprzednio, ale tylko przez pierwsze trzy miesiące. A jak się potem nie znajdzie dla niej stanowisko kelnerki w jakiejś porządnej restauracji, tylko w paskudnej, to co wtedy? W ogóle z gastronomią ostatnio krucho. Mąż tej córki był długie lata kucharzem, rzucił to, poszedł do MPK, na nowoczesnym trolejbusie jeździ i sześć tysięcy miesięcznie bierze, czego przedtem nie było.

Trzecie pokolenie u Kozidraków raczej w płeć żeńską obrodziło. Józef ma trzy córki i jednego syna, Zdzisław — cztery córki, Sabina — cztery córki, Marian — dwie córki i syna, tego z UMCS. Więc wygląda na to, powiadają żartobliwie, że jak dziadek był męski krawiec, bo miał trzech synów i córkę tak jego dzieci są damskie krawce, może dopiero ich dzieci odnowią męską linię rodu, trochę tej krwi Kozidraków w męskich żyłach płynie.

I tak sobie gawędzimy z Józefem Kozidrakiem, najstarszym synem Antoniego. A obok uważnie przysłuchuje się rozmowie żona Józefa i najstarsza jego córka. Kobiety baczą, żeby miód pitny nie wysechł gościowi w szklance i żeby mąż-ojciec czego nie opuścił z ważniejszych wydarzeń żywota rodzinnego, który był żywotem najzwyczajniejszym pod słońcem tego kraju.

PRÓBA EROTYKU

Jackowi

Gdybym była nocą
mógłbyś gwiazdy zapalić we mnie

gdybym była wierszem
mógłbyś mnie spisać w książce

gdybym była kobietą
mógłbyś mnie skryć w cieple dłoni
i otworzyć siódme niebo

kim jestem

zimne ręce niesiesz do domu

PROSBA

Kiedy umrę
niepotrzebne mi koronki
ani puch nakrochmalonej poduszki
sianem
świst kosy
jak piosenka lata
niech wtóruje zmęczonej w drodze
trumna musi być prosta
z brzozy
co spaceruje brzegiem lasu
i wicher niech zawyje
jak u wyspiańskiego
i niech deszcz na pogrzeb mój zapłacze
kwiaty
muszą być koniecznie
konwalie
świeżutkie i białe
jak styczniowe mrozy
na sąd ostateczny nie wolno się spóźniać
a gdy mnie dobry pan bóg spyta
kim jesteś
odpowiem
polką
nie widzisz
oczy moje
jak jeziora na mazurach
zielone
gdy słońce wstaje z wilgoci szuwarów

słoneczników ciężarne głowy
chylące się wiatrem w wiejskich opłotkach
skrzyp żurawia
za chatą ze słomianym gontem
i brzęk wiader z krystaliczną wodą
zwołujących bydło wieczorem do domu
chabry błękitne
biegnące soczystą miedzą
i maki czerwone
splątane uściskiem z mącznym kłosem
o dobry boże
daj mi to wszystko również w niebie

SPOJRZENIE SPOD CHOIN

Ta

Z NIEMAŁYM rozbawieniem czytam niekiedy u domorosłych historyków, albo u niefrasobliwych pisarzy historycznych, sceny bożonarodzeniowe, w których sielskość rodzinna wokół choinki już w średniowieczu wydaje się być staropolskim obyczajem. A jednemu bajkopisarzowi zdarzyło się już ubrane drzewko u naszych przodków w czasach przedchrześcijańskich. Tymczasem wytrzebiamy na ten cel lasy zaledwie od około stu siedemdziesięciu lat. Zygmunt Gloger w swojej „Encyklopedii staropolskiej" pod hasłem „Gwiazdka" pisze: *Za tzw. „czasów pruskich", tj. w latach 1795—1806, przyjęto w Warszawie od Niemców zwyczaj w wigilję Bożego Narodzenia ubieranie dla dzieci sosenki lub jodełki orzechami, cukierkami, jabłuszkami z mnóstwem świeczek woskowych lub kawałków stoczka różnokolorowego. Pierwej był w Polsce tylko zwyczaj zawieszania w dniu tym u belek w izbie „gwiazdek", robionych z różnokolorowych opłatków na pamiątkę gwiazdy, symbolizującej narodziny Zbawiciela. Ł. Gołębiowski powiada, że tam, gdzie dawny obyczaj lubią zachowywać, gwiazdki te trwały przez rok cały aż do nowych. Podarunki, dawane w dniu tym dzieciom i domownikom, zowią się: „na gwiazdkę".*

Od siebie mogę uzupełnić, że w zachodniej części ziem polskich ten starogermański zwyczaj przyjął się o wiele wcześniej, w miarę stopniowego odpadania tych obszarów od Polski. Obecnie jednak prawie nikt do tych rodowodów nie sięga, większość Polaków uznaje choinkowy obyczaj rzeczywiście za swojski, chciałoby się powiedzieć od wieków własny.

Skoro więc obecność drzewka w okresie świąt wydaje się nieodzownym elementem dekoracyjnym, a także łączącym domowników niezależnie od ich światopoglądu, przyjrzyjmy się bliżej, jak w ostatnim miesiącu mijającego właśnie roku 1976 zainteresowani mogli tę swoją zwyczajową potrzebę zaspokoić.

W Okręgowym Zarządzie Lasów Państwowych w Lublinie rozmawiałem z naczelnikami dwu wydziałów: Zbytu i Spedycji oraz Kontroli i Rewizji — magistrami Romanem Zalichtą i Januszem Kosutem. Skarżyli się, że od połowy listopada do końca grudnia prawie cała uwaga służby leśnej i pracowników fizycznych koncentruje się na przygotowaniu odpowiedniej ilości choinek. Tak więc w całych województwach: lubelskim, bialskopodlaskim, chełmskim, zamojskim, tarnobrzeskim oraz w części sześciu innych, które podlegają Okręgowi, trwa wyznaczanie okazów do tzw. przecinek w lesie istniejącym oraz wyrąb na plantacjach.

Rys. K. Kozłowski

Te ostatnie ratują las przed dewastacją. Otóż ponad dziesięć lat temu w naszym Okręgu postanowiono założyć odrębne plantacje drzewek choinkowych, głównie świerków. Obsadzano nimi pola po starych szkółkach, a przede wszystkim bezużyteczne pasy pod liniami wysokiego napięcia, które przemierzają lasy. Tam drzew sadzić nie można, ale niskie świerki, przewidziane do wycięcia po ośmiu, dziesięciu latach, tak. I oto zamiast traw i samozasiewających się krzaków na trzystu hektarach rosną teraz drzewka, które kolejno znajdą się w naszych domach. Plantacje te wzrastają. W roku ubiegłym np. posadzono 43 a w obecnym już 62 ha. Tam gdzie następuje wyrąb choinek, sadzi się nowe.

Świerk jest gatunkiem cieniożnośnym i wybrany spośród lasu wyższego, jest bardziej poszukiwany, bo posiada zabarwienie ciemniejsze. Jednak partie, które nadeszły z białostockiego i kieleckiego, choć walory te posiadały, równocześnie za rzadko były foremne, proporcjonalne w kształtach. Gdyby świerki i jodły były światłożądne, musiałyby rosnąć wyłącznie na przestrzeniach odkrytych, dobrze nasłonecznionych, a straty — uświęcone gwiazdkowym obyczajem — byłyby jeszcze większe.

Począwszy od tej gwiazdki zakazano na terenie Okręgowego Zarządu Lasów Państwowych w Lublinie pozyskiwania choinek jodełkowych, mimo że właśnie one są najbardziej pożądane. W skupiskach jodły rosną już tylko na Podlesiu, oraz na Roztoczu, są to już właściwie rezerwaty. Ochrona tego gatunku jest w tej sytuacji zrozumiała, choć dość mocno spóźniona. Plantacje stały się nie tylko dobrą rezerwą gospodarki leśnej, ale i ratunkiem dla samego lasu. Jeżeli w latach wcześniejszych wyrąbywano oficjalnie około osiemnastu tysięcy drzewek każdego grudnia, to teraz ponad siedemdziesiąt. Pewną ilość leśnictwa wycinają ponadto na potrzeby okolicznej ludności wiejskiej.

Faktem jest jednak, że dziesiątki tysięcy świerków i, niestety, także jodełek wyrąbywane są nielegalnie. Czyni to ludność wiejska, która od czasów najdawniejszych posiada głęboko zakorzenione przekonanie, że las jest ludzki, czyli że ludzie mają prawo trzebić go na własne potrzeby. Kupując legalnie, trzeba z placu gajówki lub leśnictwa przyjąć już ścięte, kradnąc — można je sobie swobodnie wybrać w samym lesie. A i ryzyko ma swój urok. Im lepsza jest u nas motoryzacja, tym większe straty notują w grudniu pracownicy leśni. Właściciele samochodów prywatnych, kierowcy wozów służbowych odczuwają pełnię szczęścia dopiero wtedy, kiedy przed samymi świętami przywożą dla siebie i znajomych drzewko „prosto z lasu". Tradycyjnymi już trzebicielami drzewek choinkowych, najczęściej właśnie jodełek, są maszyniści kolejowi, ich pomocnicy i inni kolejarze. Stają na trasie wśród lasów i w takt sapania lokomotywy śmigają siekierami: dla siebie i towarzyszy pracy.

Starszy referent techniczny, Gustaw Ostrowski, i jego przełożeni nazywają to defraudacjami. Ani razu nie użyli terminu złodziejstwo, kradzież. Są więc wobec złodziei eleganccy, czy tylko ulegają językowi swego zawodu? Straż leśna w poprzednim sezonie zatrzymała sto dwadzieścia dziewięć osób, które „zdefraudowały" tysiąc osiemset trzydzieści jeden choinek, a milicja na drogach — pojazdy z dwustu trzydziestu nielegalnie wyciętymi drzewkami. Ale to tylko niewielka część niszczycieli lasu. Kolegia do spraw wykroczeń karzą wspomnianych defraudantów nie według społecznej szkodliwości czynu, mimo że w wielu wypadkach jest nazbyt widoczne wycięcie drzewek w celach handlowych. Ponadto nieraz udowodniono rabusiom, że ścinali wierzchołki trzydziestoletnich jodeł, aby uzyskać w ten sposób dorodniejszą choinkę i wyższą za nią cenę. Kikuty takich okaleczonych skazanych na śmierć drzew wcale nie są rzadkie.

Mimo że w obecnym sezonie zmieniono ceny choinek, to nadal drzewko nie jest droższe od dorodnej chryzantemy. Nie zahamowało to więc popytu na choinki naturalne. Zapewne kradzieży rzyło się mniej.

Lublin zakupił pośrednictwem L dzielni Spożywców jewódzkiego Związ Spółdzielni „Samo oraz Przedsiębiorst łem czterdzieści pię świerkowych. W c nie sprzedano ich cy. Tyle legalnie. ostatnich latach z na choinki z two chociaż większość faworyzuje drzewk nak zarówno zast LSS Bronisława P

kierowniczka dzia żywnościowych — wa twierdzą zgod wanie choinkami większe niż podaż kupiono osiem drzewek, a prze tysiące mniej. R że jest ich za ma ko nie takich k jakie wytwarzają dzielnie pracy „Synteza". Klien tają o choinki cm w cenach od dziesięciu do czte sięciu złotych. I nia, że ceny te porównaniu do nych, że trzeba d odczuciu zainter mortyzowały. Ki obrotu artykułam papierniczymi l

Gdy zabłyśnie pierwsza gwiazda...

Roman Rosiak

FOLKLOR polski przeżywa swój „złoty wiek", zaś dobra passa dla sztuki i literatury ludowej kazałyby przypuszczać, że i w dziedzinie zwyczajów i obrzędów tak pieczołowicie kultywowanych przez pokolenia sytuacja przedstawia się podobnie. Jednak tak nie jest. Świadczą o tym wypowiedzi poetów chłopskich naszego regionu, którzy przecież, jak nikt chyba inny, są prawdziwym sejsmografem rejestrującym wszystko, czym żyje ich wioska.

„...u nas te stare tradycje są już właściwie nieistotne, lecz się jeszcze zachowały w pamięci ludzi starych — pisze w liście Sabina Derkaczewska, poetka z kol. Wojniaki w woj. chełmskim, zaś jej koleżanka po piórze z Hrubieszowa, woj. zamojskie, Kazimiera Wiśniewska dodaje: *„teraźniejszość jest u nas uboga w zwyczaje, a nawet nie ma ich wcale.* I jeszcze jeden sygnał, którego autorką jest Lucyna Bojarczuk z Rossoszy, woj. bialskopodlaskie, która pisze m. in.: *...wróżby i świąteczne przepowiednie już dawno u nas zostały zapomniane, a jeżeli ktoś jeszcze je pamięta, to już musi być bardzo stary. Trudno zresztą o tym pamiętać, gdy co drugi gospodarz posiada radio, a i anteny telewizyjne coraz gęściej wyrastają na dachach chłopskich chałup.*

A zatem, skoro zostaliśmy już właściwie skazani niemal wyłącznie na wspominanie tego, co już odeszło, bądź odchodzi do tradycji z tak bogatych obrzędów towarzyszących świętom, postarajmy się, korzystając z relacji poetów ludowych, odtworzyć wizję Wigilii na Lubelszczyźnie.

Oddajmy zatem głos Józefowi Stręciwilkowi z Dzwoli koło Janowa Lubelskiego, obecnie należącej już do woj. tarnobrzeskiego, który tak oto wspomina święta sprzed lat:

Wieczerza 23 grudnia bywała obfitsza i więcej urozmaicona, gdyż trzeba było najeść się dobrze, by jutro utrzymać się przez cały dzień bez jedzenia, bo w Wigilię obowiązywał ścisły post. W Wigilię z rana zapalano w piecu na węgle, a gdy węgli już narobiło się w piecu dużo, nakładano je do glinianego garnka, dosypywano małą garść suchego święconego ziela i dużą szczyptę święconej mirry, obkadzano tym w chałupie, oborach i w stajni, miało to zabezpieczyć ludzi i zwierzęta przed chorobami z wiatru (zaraźliwymi).

Przed wschodem słońca chłopcy musieli przynieść z lasu stróże, tj. dwa młode świerki z ładną, niezbyt gęstą koroną, wysokości około półtora łokcia i powtykać je mocno, by się nie wywróciły, na słupach, po obu stronach wjazdowej bramy do podwórka. Miały one chronić przez cały następny rok przed wejściem na podwórko, do gospodarstwa i chałupy złych ludzi, wypadków i chorób, tych, które szatan wprowadzić mógł.

Chłopi przez cały dzień krzątali się w obejściu, a kobiety przyrządzały i gotowały Postnik, który składał się z jedenastu potraw, według ilości apostołów, zaproszonych przez Pana Jezusa na ucztę wieczorną, gdy obchodził On swoje urodziny po całodziennym poście tego wieczoru. A że Judasz, dwunasty apostoł, ukradł w tym czasie Panu Jezusowi pieczoną gęś, wprawiając tym Pana Jezusa w zakłopotanie, dlatego Postnik przyrządzano nie z dwunastu, a z jedenastu potraw, by dwunastą potrawą nie symbolizować złego apostoła Judasza. Te potrawy, jak: kapusta, groch, sypka gryczana kasza i paluchy były obowiązkowe, a inne to każda gospodyni przygotowywała według swego upodobania i zamożności. Na szczególną uwagę zasługiwały paluchy. Były to bardzo duże, zataczane podłużnie kluski, przypominające ludzkie palce. Kraszono je makiem, tłuczonym na sucho w stępie i słodzono miodem.

Rzecz ciekawa, że prawie nigdzie na Lubelszczyźnie nie spotyka się, by w Postniku była nieparzysta liczba potraw, jak w okolicach Janowa. Najczęściej było ich 12, jak to opisuje Alfreda Magdziak z Sitańca, woj. zamojskie:

Na wieczerzę szykowano obowiązkowo 12 potraw, bo Pan Jezus miał 12 apostołów. A więc: groch na sypko, kapusta, barszcz czerwony, śledzie, kutia z pszenicy, suszone śliwki, pierogi gotowane z serem z siemienia konopnego, kartofle na cało, kluski z makiem, kasza gryczana z grzybami, podpłomyki maczane w roztartym grochu z czosnkiem. Wszystko to z olejem lnianym, lub rzepakowym, postne.

Dbano też bardzo o to, by na tę wieczerzę przygotować cały dom jak najbardziej uroczyście, o czym tak pisze Sabina Derkaczewska:

Przygotowania do świąt zaczynały się na jakieś 2—3 tygodnie wcześniej, gdyż mieszkanie musiało być świeżo wybielone, a bielizna czy pościel, choćby najlichsza, uprana. Wieczorem robiło się zabawki na choinkę z papier wydmuszek, bo n mógł sobie pozwo siała być w ka biedniejszym dom

Ojciec rodziny Stręciwilk — pr *„króla"* — pół *snopka owsa zwi den snopek. Post ławie za stołem ścianach (w drug rek). Kobieta p wiła święcone z spodarz przyniós wego, pachnącego cienką warstwą która stała przy gdzie stał stół, rym na drugiej zamykana szafa drzwiami, służąc i talerze, zwróco wnętrzu chałupy. spodyni poukład przy drugim, w piekły. Jeżeli wszystkie, to dos wę, też nakrytą na gospodarz ukł łupy, stawiając dzieży włożył razowego chleba kiem, na nim t przykrył go czy ganem, który m Przyniósł drugi słomy — mierzw wokół dzieży, ta mownicy mogli godnie w czasie dzono na dzieży się wygodnie na dwie noce.*

A kiedy wresz jawiła się pierw się (obowiązkowo mawiano modlitw no do wieczerzy.

— Janina Wrotkowska podtrzymuje tę opinię. Także wieś coraz częściej kupuje choinki z tworzyw.

Niektóre ze sztucznych choinek posiadają zapach wody leśnej — to już coś. Szwedzi jednak produkują choinki z wewnętrznymi przewodami, a po wlaniu odpowiedniego płynu i naciśnięciu guzika, igiełki sztucznej jodełki nawilżają się i w pokoju pachnie lasem przez wiele godzin. Warto chyba, aby i u nas ktoś o tym pomyślał, jeżeli chcemy ten rodzaj drzewka upowszechnić i ulżyć lasom. Estetyka naszych drzewek ulega pewnej poprawie, ale jeszcze zbyt wolno. Minął już czas wkładania pojedynczych gałązek do głównego badyla, ale wciąż jeszcze trudno o nich mówić, jak o niektórych odmianach sztucznych kwiatów, że „są ładniejsze od prawdziwych".

O ile z choinkami nie było w tym roku większych kłopotów, to odczuwało się brak konfekcji choinkowej oraz zabawek kładzionych dzieciom pod drzewko właśnie. Zbigniew Michałowski, kierownik działu obrotu artykułami papierniczymi, zabawkarskimi i pamiątkarskimi Wojewódzkiego Przedsiębiorstwa Handlu Wewnętrznego w Lublinie i jego zastępczyni, Barbara Chybowska-Maciejewska, mimo że do połowy grudnia rozprowadzili w czterech województwach bombki i maskotki różnego rodzaju za około dziesięć milionów złotych, twierdzą zgodnie, że można było sprzedać dwa razy tyle. Brakowało różnego rodzaju dzwoneczków, zwierzątek i ptaków, parasolek, bałwanków i innych tego rodzaju drobiazgów, mało było tzw. szpiców na wierzchołek choinki. Było jednak, obok krągłych bombek, trochę wklęsłych i owalnych wisiorów. Wzory na bombkach wydają się ciekawsze niż w latach poprzednich: sploty kwiatów i gałązek, ładna, niebanalna kolorystyka. Dzieci otrzymały pod choinki gwiazdkowe i noworoczne w tym roku o wiele więcej zabawek. W samym tylko listopadzie i grudniu sklepy WPHW sprzedały ich za trzydzieści milionów złotych. A przecież dużo ozdób oraz zabawek rozprowadzały przemysłowe sklepy gminnych spółdzielni, jak również kioski „Ruchu". A jednak potrzeby były jeszcze większe i stanowią wskazówkę na rok przyszły.

Złożone są więc problemy związane z drzewkiem choinkowym. Najprościej byłoby wrócić do staropolskiego zwyczaju zawieszenia gwiazdek u belek w izbach. Tylko gdzie teraz te belki?

AMERYKA W OBIEKTYWIE MARKA STANKIEWICZA

Nowy Jork — fragment ulicy

Nowy Jork widok na Manhattan z prawej — dzieci w nowojorskim Harlemie

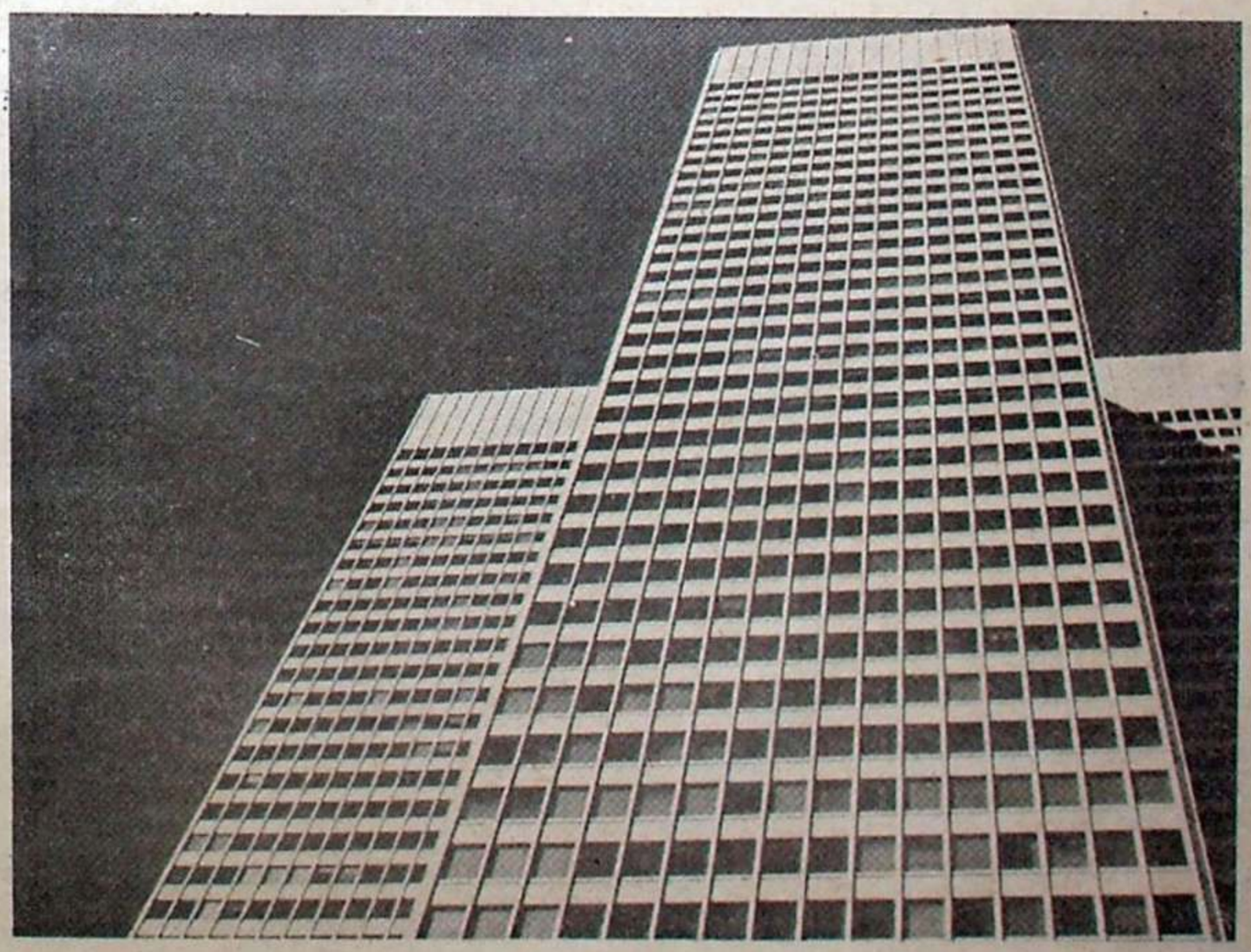

Montreal — Kanada

odbiegała ona od naszych dzisiejszych wymagań. Spożywano ją nie wygodnie za stołem, lecz na stojąco, żeby nie bolał przez najbliższy rok krzyż (A. Magdziak), albo siedząc na stołkach (ale tylko starsi), bądź klęcząc (głównie młodzież i dzieci), co również miało być skutecznym lekarstwem na bóle krzyża. Wigilię, oczywiście po modlitwie, rozpoczynano od łamania się opłatkiem (J. Stręciwilk dodaje, że na podzielony na części dla każdego z domowników opłatek, położony na dzieży, gospodarz nalewał po odrobinie miodu, żeby ich życie było słodsze), łyżkę jednak trzeba było przez cały czas trzymać w dłoni, ponieważ miało to dodać siły w pracy przez cały rok. Nie wolno też było ze stołu sprzątać żadnych potraw, zostawiając je dla duchów zmarłych przodków.

W trakcie Wigilii i bezpośrednio po niej wróżono i zabezpieczano się przed wszelkimi klęskami na przyszłość. Rzucano kutią do powały, by po ilości przyklejonych ziarenek wnioskować, jakie będą plony. Liczono drwa i sztachety, nasłuchiwano szczekania psa, wróżono z żarzących się węgli itp. Ale nie zapominano o najważniejszym — o gospodarstwie, toteż — jak pisze Alfreda Magdziak:

Po ubraniu choinki, po wieczerzy, żeby drzewka owocowe rodziły, gospodarz przepasywał się powrósłem, brał siekierę i szedł do sadu. Z nim musiał iść ktoś drugi. Gospodarz podchodził do każdego drzewka i pytał: „Powiedz, będziesz rodzić? Bo jak nie, to cię zetnę!" i nastawiał się z siekierą, jak do ścięcia drzewa. Ten ktoś drugi odpowiadał: „Będę!" i szli do następnego drzewka. Po takim przyrzeczeniu drzew sad miał rodzić obficie.

„TRĘDOWATA"

Mirosław Derecki

DNIAŁO. Wstawał świt. [...] Świeży oddech wiosny dmuchnął na delikatne zasłony szyb, muskając puszyste, sobolowo złote włosy Stefci Rudeckiej, ciekawie wychylonej na świat. Była w bieliźnie, z warkoczem trochę roztarganym. Obudził ją odgłos dzwonka i kukułki wołającej w parku.

Takim oto sielsko-lirycznym obrazkiem rozpoczynała debiutująca autorka, Helena Mniszek „Trędowatą", opowieść o miłosnych perypetiach ubogiej nauczycielki i możnego ordynata, o miłości „czystej", zrodzonej w romantycznych Słodkowcach, a osiągającej upiorny finał w ponurym zamku w Głębowiczach, gdy zrozpaczony Waldemar stał przed portretem zmarłej narzeczonej:

Bezbrzeżnie smutny wzrok utkwił w różowej Stefci, rozbierając każdy szczegół osobno spoglądał i na swą rękę: błyszczały na niej obok siebie razem dwa pierścionki zaręczynowe — uriańska perła Stefci i wielki brylant Michorowskich. W zamku panowała głucha, tragiczna cisza, jakby ostatnie zamarło w nim szczęście.

„Trędowata" miała stać się dla kilku pokoleń Polaków synonimem złego gustu literackiego i przykładem najgorszej grafomanii, ale zarazem święcić nieustające triumfy wydawnicze. Nad tą książką rzewnie płakały pokojówki, a do łez zaśmiewały się — intelektualistki, ale tak czy owak powieść czytali wszyscy. Do wybuchu drugiej wojny światowej „Trędowata" doczekała się szesnastu wydań, nakręcono w oparciu o nią dwa filmy, dziesiątki satyryków wyrabiały ostrość pióra na zjadliwym komentowaniu miłosnych uniesień Stefci i ordynata Waldemara, a Magdalena Samozwaniec zdobyła „nazwisko" pisząc słynną powieść-parodię pt. „Na ustach grzechu".

Potem „Trędowata" krążyła w maszynowych odpisach jako swoisty, czytelniczy rarytas, aż w 1971 r. Wydawnictwo Literackie wznowiło ją w nakładzie 40 tys. egzemplarzy, rozchwytanym w ciągu godziny. I wreszcie w 1976 r. Jerzy Hoffman zaprezentował kolejną, trzecią już adaptację filmową sławetnej powieści. W Lublinie „Trędowata" wyświetlana jest od początku grudnia w dwóch największych kinach, idzie kompletami, uważa się, że około połowy stycznia liczba widzów przekroczy sto tysięcy.

Czy mogła marzyć o takiej „sławie" młoda wdowa z głębokiej prowincji, kiedy w 1909 r. w Krakowie opuszczała maszyny drukarskie jej książka, zrodzona w majątku rodziców Sabnia na Podlasiu? Samotna, egzaltowana kobieta, której życie upływało w prowincjonalnych dworach, z dala od centrów kulturalnych, która nawet nigdy do gimnazjum ani na „pensję" nie uczęszczała, bo wykształcenie otrzymała „systemem domowym" — przelewała na papier swoje naiwne marzenia o wielkim świecie, którego nie znała i o wielkiej miłości, za którą musiała tęsknić. Urodzona w 1878 r. w majątku Kurczyce na Wołyniu, Helena Mniszek-Tchórznicka wyszła w wieku 21 lat za W. Chyżyńskiego i zamieszkała w Platerowie na Litwie, a owdowiawszy po czterech latach, wróciła na Podlasie.

Nic nie wróżyło przyszłej „kariery" Mniszkówny, tym bardziej że już na samym wstępie recenzent „Nowej Reformy" zjechał książkę nie pozostawiając na niej suchej nitki: *Treść, którą można opowiedzieć w kilku słowach, ujęła autorka w długi szereg nudnych obrazów, w których opisuje życie arystokracji w sposób mdły, bezbarwny i banalny, świadczący, że obserwacja jej jest płytką, a wyobraźnia jałową. Trzeba dużej siły woli i pewnego rodzaju poświęcenia, aby powieść tę, typowy płód grafomanii kobiecej, przeczytać do końca.*

Ba! Cóż znaczą jednak słowa najbardziej nawet ostrej krytyki, skoro „Trędowata" była pierwszą polską książką spełniającą zapotrzebowanie na „love story", opisującą w sposób rozwlekły i naiwny, ale zarazem drobiazgowy, procesy rodzenia się i dojrzewania miłości. Trafiała na rzesze czytelniczych neofitów, warstw świeżo emancypowanych, *które odrzuciwszy reguły wiejskiej obrzędowości, ocknęły się w psychicznej i obyczajowej próżni*, a książka Mniszkówny pozwalała im *delektować się normą i obrzędem, niezależnie od tego czy były to rzeczywiste normy opisywanego środowiska* — jak pisze w interesującym szkicu krytycznym Teresa Walas.

Jadwiga Smosarska w „Trędowatej", Wytwórnia „Sfinks"

Zresztą nie wszyscy krytykowali autorkę „Trędowatej". Na przykład Bolesław Prus dostrzegał w niej podobno samorodny talent i zachęcał do dalszej pracy nad sobą. Do pisania w każdym razie nie trzeba było Mniszkówny zachęcać. Rok po „Trędowatej" ujrzał światło wydany w Kijowie, u Leona Idzikowskiego — „Ordynat Michorowski", a później już co roku z „warsztatu" Mniszkówny schodziła nowa książka: „Zaszumiały pióra", „Panicz", „Książęta boru", „Prymicja", „Gehenna". Wybuch pierwszej wojny światowej przyhamował ten potok pisarstwa, ale już w 1918 r. w Warszawie ukazali się „Czciciele szatana", a w 1922 r. wyszła w Lublinie (!) jej piąta powojenna książka — „Prawa ludzi". Kiedy w 1926 r. Mniszkówna stała się autorką „filmowaną", liczyła 48 lat i miała wydanych 14 książek. Nazywała się obecnie — po drugim mężu — Rawicz-Radomyska, większą część książek napisała w majątku męża Rogale pod Łukowem.

„Trędowata" miała być wielkim sukcesem kasowym największej przed wojną polskiej wytwórni filmowej „Sfinks", toteż postarano się o szczególnie bogatą „wystawę" (film kręcono m. in. w majątku hrabiny Potockiej w Natolinie), oraz o doborową obsadę aktorską: Stefcię grała Jadwiga Smosarska, Waldemara — Bolesław Mierzejewski. Film reżyserowali Edward Puchalski i Józef Węgrzyn, a operatorem był najlepszy bodaj ówczesny „fachman" w tej dziedzinie — Zbigniew Gniazdowski. Film oczywiście był niemy.

„Trędowata" przyniosła istotnie wielki sukces kasowy, ale poniosła całkowitą klęskę artystyczną. Sprawdzały się w odniesieniu do niej słowa Karola Irzykowskiego o polskiej produkcji filmowej, że *naszą ambicją jest międzynarodowy kicz*. Antoni Słonimski na łamach „Wiadomości Literackich" pisał bezlitośnie: *Kinematograf powiększył głupotę tej powieści do rozmiarów kosmicznych* a treść filmu sprowadza się do tego, że *stado nudnych i nudzących się wałkoni przewala się z ogrodu do salonu i z salonu do ogrodu. (...) „Trędowata" (...) ma powodzenie graniczące z masowym obłędem. Zdaje się, że sekretem tego sukcesu (...) jest po prostu głupota, która ma niezwalczoną siłę atrakcyjną dla głupców.*

Skandal wokół filmowej „Trędowatej" przyczyniał się zresztą do tym większego zainteresowania ze strony publiczności, no a sama Helena Mniszkówna — *ładna, cicha, nieśmiała pani*, jak ją po latach wspominała Jadwiga Smosarska — musiała być zachwycona. Wprawdzie znikła natychmiast po uroczystej premierze, ale wkrótce nadesłała do Gniazdowskiego list, w którym pisała, że jest wdzięczna za *poemat pól i lasów polskich wyśpiewany mistrzowsko na palecie złudzeń świetlnych.*

A swoją drogą trudno się dziwić publiczności. Kina ówczesne zalewane były tak straszną powodzią szmiry zagranicznej, że od samych tytułów filmów jeżą się włosy na głowie.

W Lublinie premiera pierwszej ekranizacji „Trędowatej" odbyła się we wtorek 18 stycznia 1927 r. w kinie „Corso". Prasa podawała, że na ekran kino-teatru wszedł *współczesny dramat salonowy w 12 wielkich aktach z prologiem, według słynnej powieści Heleny Mniszek.* Pierwszy seans zaczynał się o 16.30, a ostatni o 21.30. Filmowi towarzyszyła *muzyka koncertowa pod kierownictwem prof. St. Turalskiego.* „Trędowata" zdystansowała idące w tym czasie inne filmy, jak: *„Białe noce" — dramat z lat ostatnich carskiej Rosji, „Lew Mogołów" — monumentalny dramat egzotyczno-erotyczny czy „Męczennica zmysłów" — erotyczny dramat życiowy w 9 aktach.* Niestety, ówczesna prasa lubelska nie zamieszczała recenzji filmowych, ale że film musiał się podobać świadczy fakt, iż szedł on bez przerwy przez dziesięć dni i potem jeszcze przez cztery następne — na popołudniówkach, aby w ten sposób *dać możność widzenia szerszej młodzieży szkolnej.* Nawet „Burłak znad Wołgi" Cecila de Mille ani „Pat i Patachon — królowie śmiechu i ulubieńcy publiczności" nie uzyskały w następnych miesiącach tak wielkiego powodzenia jak „Trędowata".

Krytyka filmowa przecież zrobiła swoje. Przez dziesięć lat żadna polska wytwórnia nie odważyła się zekranizować „Trędowatej", chociaż nastały czasy filmu dźwiękowego, a to mogło dodać atrakcyjności nowej ekranizacji. Natomiast Helena Mniszek-Radomyska nadal poświęcała się swojej pasji twórczej, od 1920 r. w majątku Kuchary w Płockiem. Trzeba przy tym odnotować, że potrafiła wychować cztery córki, pracowała społecznie jako przewodnicząca Koła Ziemianek i członkini Przysposobienia Wojskowego. Karierę pisarską zakończyła w 1930 r., w 52 roku życia, wydaną w Warszawie książką „Magnesy serc". W sumie, w ciągu 31 lat wydała 19 książek (nie mówiąc o wznowieniach), a 3 z nich zostały przeniesione na ekran: „Trędowata", „Ordynat Michorowski" i „Gehenna". Wypędzona przez Niemców spod Płocka, zmarła w 1943 r. w rodzinnej Sabni na Podlasiu.

Tak to trzynaście lat przed śmiercią zamilkła muza Heleny Mniszek (z jakich powodów — może to ktoś wyjaśni?), ale nie skończyło się zainteresowanie jej twórczością. „Trędowata" urosła do rangi narodowego kompleksu, stała się Winkelridem kiczu i „kozłem ofiarnym" (T. Walas), ale też była wciąż, z upływem dziesiątków lat, na swój sposób żywa, budziła zainteresowanie. I pewnie dlatego w 1936 r. wytwórnia „Sfinks" zdecydowała się na powtórną ekranizację książki.

Tym razem krytyka ustosunkowała się do „Trędowatej" o wiele przychylniej. Zresztą film był zrobiony zręcznie, dobrze reżyserowany przez jednego z najzdolniejszych ówczesnych polskich reżyserów — Juliusza Gardana. W roli Stefci wystąpiła doskonała aktorka Elżbieta Barszczewska, w roli ordynata Michorowskiego — Franciszek Brodniewicz. Rangę filmu podnosił jeszcze fakt udziału w nim świetnej Mieczysławy Ćwiklińskiej i Kazimierza Junoszy-Stępowskiego. Był to kasowy sukces sezonu 1936/37, a w plebiscycie pisma „Świat Filmu" — „Trędowata" zajęła drugie miejsce za „Barbarą Radziwiłłówną".

I znowu w Lublinie widownia kina „Corso" zajęta była przez 10 dni do ostatniego miejsca! Premiera odbyła się 21 września, w poniedziałek, a prasa informowała, że jest to film *zrealizowany na miarę arcydzieł zagranicznych, który przemówi najpiękniejszym językiem miłości* i że *każdy Polak po-*

winien zobaczyć chlubę polskiej produkcji.

Trzeba pamiętać, że ów dziesięciodniowy „maraton" istotnie świadczył o ogromnej popularności filmu. W 1926 r. kino „Corso" miało tylko jednego konkurenta: kino „Świteź" (przy Krakowskim Przedmieściu 48). Teraz w Lublinie było aż 5 placówek konkurencyjnych: „Apollo", „Stylowy", „Gwiazda", „Rialto" i „Venus".

•

Za dwa lata przypadnie siedemdziesiąta rocznica ukazania się „Trędowatej", książki potępionej i wyśmianej, ale zarazem fenomenu popularności. Na film Jerzego Hoffmana, z udziałem Elżbiety Starosteckiej i Leszka Teleszyńskiego, walą tłumy. Ale na widowni nie słychać szlochów i łkań w momencie śmierci biednej Stefci Rudeckiej, a służba porządkowa kina nie znajduje po seansie (jak to za dawnych czasów bywało!) zmoczonych łzami chusteczek. Dziennikarz, przysłuchujący się po wyjściu z kina rozmowom tłumu, więcej słyszy rzeczowych uwag nad doskonałymi zdjęciami Stanisława Lotha i zachwytów nad pięknem pałacowych wnętrz w Łańcucie i Książu (gdzie film był kręcony), niż sentymentalno-spazmatycznych „ochów" i „achów". Widzowie, indagowani wprost, odpowiadają raczej niechętnie i na ogół krytycznie co do samej „Trędowatej" — książki.

Gdybym nie słyszała w życiu tyle o „Trędowatej", w ogóle bym na film nie poszła. Poszłam z ciekawości. A to banał. Tyle, że ładnie zrobiony na szerokiej taśmie i w kolorze.

Starostecka piękna, Teleszyński przystojny. Ale czy nie mogliby zagrać w innej, mniej naiwnej „love story"?

Pięknie się kochają, ja też bym tak chciała...

Coś ten reżyser za bardzo i za szybko kawę na ławę kładzie. Ledwie Stefcia umarła, tylko grób wieńcami przywalili, a on już daje się prowadzić pod rękę hrabiance Melanii...

No tak, to film o głębokiej wymowie społecznej. Tylko za szybko się kończy. Żeby tak jeszcze pokazali upadek tych wszystkich arystokratów.

Film o wielkiej miłości, każda kobieta tak by chciała być kochana. Ale to wszystko jakieś dawne, nieprawdziwe...

Piękne zdjęcia, piękne krajobrazy, konie, pałace. Tak, to film na pewno udany.

Tyle skąpych wypowiedzi można uzyskać od tzw. przeciętnych widzów. Nie są zbytnio wzruszeni, spiesznie idą do domów. Więcej zafascynowała ich „wystawa" filmu niż sama intryga. Patrzą na „Trędowatą" jak na wyblakłą fotografię z odzyskanego albumu babci, którą trzeba jednak obejrzeć z ciekawości, bo się o niej w domu całe życie mówiło.

A może nie chcą wyjawiać swoich prawdziwych odczuć? Zbyt niedawno oglądali w telewizji satyryczną wersję „Trędowatej", zbyt wiele słyszeli od lat o grafomanii i złym guście Mniszkówny... Na dyskusję po filmie, zapowiedzianą przez kierownictwo kina, przyszły... dwie osoby! Funkcjonariusz milicji z Zamościa i jego żona, z wykształcenia nauczycielka.

A jednak film cieszy się szczególnie zainteresowaniem młodzieży. Tej, która wyławia z niego sam tylko wątek miłosny: miłości wzniosłej, ponadczasowej, gorącej przy tym i nie pozbawionej zmysłowości, ale zarazem „czystej", nie brutalnej. Właściwie to samo, co przed siedemdziesięciu laty, tylko w innym opakowaniu. Od pewnego czasu skończyła się moda na filmy drapieżne, gwałtowne, na miłość brutalną i wyuzdaną. Młodzież przychodzi na mierne „Jezioro osobliwości" i na „Con amore" o wiele liczniej niż na amerykańskie „Ostatnie zadanie" czy „Policjantów".

Więc może jednak struny, w które — choć nieumiejętnie — uderzyła Mniszkówna przed siedemdziesięciu laty, nie brzmiały nigdy aż tak fałszywie jak jej zarzucano, a tylko była to muzyka szczera, ale nieudolna?

Agnieszka Lidia Mrowińska

TARGOWISKO

NA targu o tej porze jak zwykle było dużo ludzi. Przekupki stały po bokach głównej alejki i wszystkie krzyczały, głośno zachwalając swój towar. Jakaś młoda dziewczyna sprzedawała Żal. Na pewno udało jej się kupić gdzieś Radość i teraz, całkiem tanio, chce go sprzedać. Starszy pan obok własnych wyrobów trzymał na półce Humor, którego nikt nie chciał kupić, bo był czarny. Clown z pobliskiego cyrku oferował Uśmiechy.

Młody człowiek poznawszy piękną dziewczynę przyszedł kupić trochę Miłości. Nie miał dużo pieniędzy, dlatego szukał długo, udawał, że grymasi, wybierał w Miłościach pięknych, wzniosłych i patetycznych, ale jednocześnie lustrował niższe półki szukając takiej skromnej Miłości, żeby mu na nią starczyło i żeby pasowała do jego wymagań i duszy.

Zauważył, że stojąca obok kobieta trzymała w dłoniach taką, jakiej poszukiwał. Wprawdzie była już trochę używana, ale nie było tego widać — co najważniejsze, była tania.

Chłopiec wypytał jeszcze do kogo była poprzednio kierowana, kto był jej właścicielem, i uzyskawszy zadowalającą odpowiedź, kupił ją. Kobieta szczęśliwa, że pozbyła się zbędnego towaru, zapakowała Miłość w ładny kolorowy papier, zawinęła paczuszkę sznureczkiem z Rozczarowania i podała młodemu człowiekowi.

Odurzony Radością i Miłością, która już zaczynała przenikać przez papier, nie zauważył staruszki obserwującej go przez cały czas i która, gdy on kupił już Miłość, przysunęła się do niego.

Staruszka była siwiuteńka i lekko zgarbiona. Ubrana skromnie i smutno. W momencie, gdy chłopiec oglądał jeszcze Zazdrość, która pięknie prezentowała się obok Buntu, odcięła sznurek, na którym wisiała Miłość i prędko odeszła.

Szła szybko. Tak szybko, jak tylko pozwalały jej możliwości. Przede wszystkim obawiała się pościgu młodego człowieka i dziękowała opatrzności, że zna te ulice i ich zakamarki. Bo jeżeli już się zorientował, że nie ma paczki, to w tej dzielnicy staruszki nie znajdzie.

Zmęczona marszem usiadła na ławce przed domem. Zaśmiała się cicho. Jej twarz zrobiła się obrazem, na którym malarz zatrzymał jedną chwilę życia. Śmiała się swobodnie — pierwszy raz od bardzo dawna — nie bojąc się, że ktoś ją zobaczy i odwróci się z niesmakiem.

Już od paru lat nosiła się z zamiarem zabrania komuś Miłości, by zemścić się wreszcie na domownikach. Córce, zięciu i wnukach. Nie na darmo nazywali ją „złośliwą staruchą". A zemstę przemyślała dokładnie, tylko jak do tej pory nie miała okazji wymknąć się z domu. Teraz im pokaże, co ona jeszcze potrafi. I że myśleć nie zapomniała. Za te wstrętne kaszki na wodzie, bułki moczone w mleku, za te wstrętne zioła!

Tak, nareszcie się zemści... doda każdemu z nich trochę Miłości do kolacji. Niech ją zjedzą, jej trutkę!

I już sobie wyobrażała, jak zięć poleci do lekarza zdenerwowany, bo tyle lat mieszkać razem i nic... a teraz raptem odezwie się w nim miłość do teściowej? Och, jak bardzo cieszyła się, że on będzie odchodził od zmysłów, dlaczego pokochał „staruchę". A córka to pewnie z przejęciem będzie szeptać w biurze o tym dziwnym zdarzeniu. Dbała i pilnowała według wskazówek lekarza, ale żeby tak nagle... Jej uczucie było tak oczywiste, że z biegiem lat zszarzałe — jak wszystko co jest zbyt oczywiste i nabrało tylu smutnych uśmiechów codzienności, że przestało się na to zwracać uwagę, ba, zauważać nawet.

Wnuki pewnie wytłumaczą to sobie jako jeszcze jeden dowód, że proszę, mają uczucia — tyle dziwności w ich życiu się dzieje, stać ich na taki gest. A może i one się przestraszą? Może w rytm dzikich melodii będą tańczyć z lekkim niepokojem w sercu?

Śmiała się chytrze staruszka, siedząc tak sobie na ławce, wiatr targał jej siwe włosy, które teraz śmiesznie sterczały i myślała z lubością o zemście. Śmiała się coraz głośniej i sama siebie podziwiała na jaki genialny wpadła pomysł.

PAJĄK

ALEJA była cicha i słoneczna. Po trawniku biegał pies, którego pan bezskutecznie usiłował przywołać do siebie. Pies łapał patyk w zęby, podrzucał go do góry, puszczał i tańczył obok niego.

— Tobie to dobrze — westchnęła staruszka.

Zerwał się lekki wiatr. Drzewa zaszumiały łagodnie. Liść leżący na trawniku poderwał się nagle w podmuchu i upadł jej pod nogi. Z wysiłkiem, pomalutku nachyliła się, aby go podnieść. Trzymając w drżących dłoniach, patrzyła z zadumą na ten maleńki, niepotrzebny już nikomu rekwizyt jesieni.

Pies podbiegł do pana, zaszczekał radośnie, pomerdał ogonem, odwrócił się i popędził do swojego patyka.

Słońce przenikając przez korony drzew tworzyło jasne plamy na ziemi. W świetle tym staruszka zobaczyła pajęczynę i zawieszonego na krzaku pająka, który z mozołem starał się omotać muchę zamkniętą w jego sidłach. Mucha, zmęczona walką, co pewien czas pobzykiwała, jakby budząc się do życia, do obrony — jakby wołając o ratunek.

Bzykała z rozpaczą. Zapewne zdawała sobie sprawę na swój sposób, że z tych sideł wyjścia nie ma.

Staruszka patrzyła z zaciekawieniem.

— A widzisz, dopadł cię, zbliża się twój kres! — pomyślała. — Każdego to czeka. Ja też mucho, nie mam już wiele nadziei na ratunek, na życie...

Jej twarz, pełna zmarszczek, przypominała dziwny obraz, na którym Czas wyrył piętno, wszystkie zmagania z losem. Rozkwitła na moment dotknięcia promieni słonecznych.

Mucha umilkła, cień staruszki padał na pajęczynę w postaci sylwetki zgarbionego olbrzymiego człowieka.

— Mój pająk to czas — czuję jak mnie oplata, z roku na rok jestem słabsza. Z dnia na dzień coraz bardziej bezsilna. To moja pajęczyna. I nie ucieknę od niej.

Liść, który trzymała w dłoniach przez cały czas, był zakurzony i dopiero pod wpływem jej palców nabrał swojego umarłego koloru.

— Ja nie chcę tak — wyszeptała cichutko.

Płyną lata, dni godziny, minuty. Czas. Cóż w tym jest dziwnego, że co roku kwitną kasztany, rodzą się dzieci? Czy rezygnacja jest najczęstszą bronią bezbronnego? Czym jest starość?

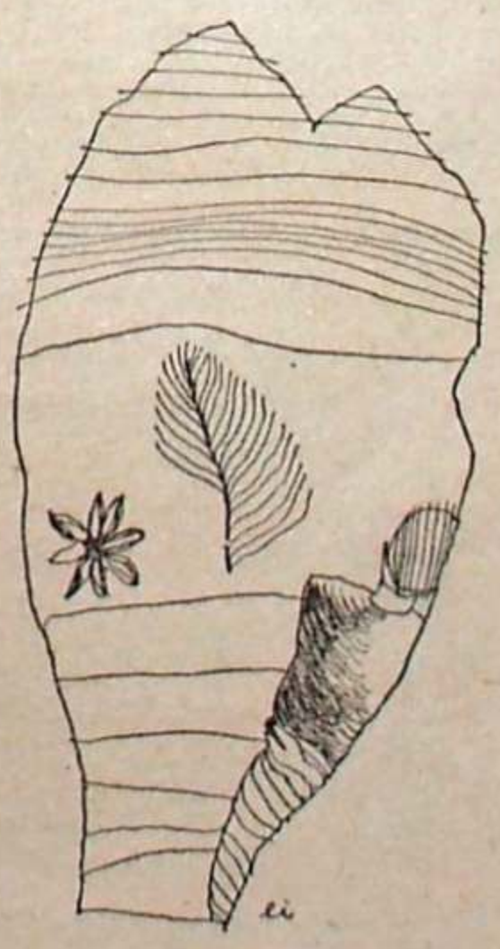

Rys. E. Inglot

Dobrze jej było iść powoli srebrzysto-szarymi alejami, nie troszcząc się o przeszłość i mieć na własność tę godzinę spokoju i łagodnego rozpływania się dnia, gdy daleki smutek roztapia się na granicy horyzontu szczęścia, wspomnień i nieustannego uczucia życia. Cicha jest ta godzina powrotu do siebie, zanim przeszyje na nowo człowieka świadomość istnienia, oddech, który przychodzi z daleka i daleko odchodzi. Milczenie. Chwila najbardziej otwarta, najsekretniejsza forma bytowania zmarszczonej twarzy, która niedługo zostanie tylko maską surową i milczącą.

Zrobiła krok do przodu. Pajęczyna nabrała srebrnego blasku i zdawała się być uzupełnieniem krzewu, w którym odległość gałązek jednej od drugiej była rażąco niesymetryczna.

Mucha poruszyła się.

— Każdy dzień to nowa nitka pająka, który bezwzględnie mnie oplata. Ten pająk to potwór. Masz rację, muszko, broń się! A ja bronię się?

Wiedziała, że mucha nie ma jak się bronić. Jednak tymi myślami dodawała sobie odwagi.

Przypatrzyła się dokładnie swoim dłoniom, potem wyciągnęła rękę i nagłym ruchem zniszczyła pajęczynę. Schowała w dłoniach liść i złożyła je jak do modlitwy.

Odwróciła twarz do słońca. Poczuła ciepło, które ją oplotło. Ciepło, które ona będzie musiała pożegnać.

Opuściła głowę.

Powoli rozdzieliła ręce, wzięła liść za cienki pręcik i zdecydowanym ruchem obrywała jego tkanki.

Szarpała go. Po chwili został tylko nerw.

TRUDNA SZTUKA ROBERTY FLACK

Istvan Grabowski

Fot. CAF — Radkiewicz

GDYBY mnie spytano o największe wydarzenie artystyczne kończącego się właśnie roku w dziedzinie rozrywki, bez wahania wymieniłbym przyjazd do Polski Roberty Flack. PAGART rzadko czyni niespodzianki krajowym melomanom, ale ta była naprawdę nadzwyczajna. Wystarczyło posłuchać jej koncertu, by przekonać się, jak wielką jest ona artystką. Nic dziwnego więc, że na ten występ ściągnęły tłumy, w których znaleźć można było wszystkie niemal gwiazdy i gwiazdeczki polskiej rozrywki.

Takiego popisu sztuki estradowej już dawno nie mieliśmy. Uczta muzyczna w Sali Kongresowej była doskonałą lekcją, jak śpiewać bez zbytecznego zdzierania głosu. Koncerty murzyńskich wykonawców prowadzą zaraz na myśl agresywną, pełną ekspresji muzykę soul lub nieodłączny czarnej skórze blues. Tymczasem Flack śpiewała ciepłe, liryczne piosenki, które z soul niewiele miały wspólnego. Śpiewała — trzeba powiedzieć — cudownie, kształtując w sobie tylko wiadomy sposób nastroje. Publiczność zaś słuchała zauroczona, bezwiednie poddając się sztuce artystki. W swoich lirycznych cackach starała się ona, jak powiedziała dziennikarzom po występie, przekazać własne odczucia.

To stwierdzenie nabiera dodatkowej wymowy, kiedy uświadamiamy sobie, iż wokalistka nigdy nie śpiewa tak samo jednego utworu. Interpretuje go dowolnie, kształtując rytm i tempo w zależności od nastroju, wewnętrznych odczuć, wreszcie od reakcji publiczności. Stąd niezapomniane „KILLING ME SOFTLY WITH HIS SONG" usłyszeliśmy w zupełnie innym niż płytowe wykonaniu. Zresztą cały koncert ciemnoskórej gwiazdy był od początku do końca improwizowany, przy czym muzycy dostosowywali się idealnie do śpiewającej solistki. Rzadka i trudna to umiejętność, wymagająca od intrumentalistów piekielnej wprost wrażliwości i precyzji gry.

Flack nie tworzy olśniewających szlagierów. Świadomie unika chwytliwych rytmów dyskotekowych, widząc w nich tanie efekciarstwo i pogoń za pieniędzmi. Starannie natomiast dobiera utwory, niejednokrotnie poprawia je, cyzeluje formę. „Chcę tworzyć — powiada — utwory, które wytrzymują próbę czasu. Czuję się odpowiedzialna przed swymi słuchaczami".

Jej płyty nagrywane są, jak np. ostatnia, całe 14 miesięcy; absorbują sztab ludzi. Dość powiedzieć, że „I FEEL LIKE MAKIN LOVE" nagrywało z Robertą aż 50 muzyków. Spróbujmy to odnieść do krajowej estrady. W jakim pospiechu nagrywa się u nas płyty, jaki reprezentują one poziom, wreszcie — który z polskich tzw. szlagierów przetrzymał próbę czasu? Dopóki bowiem scena traktowana będzie jako świetne miejsce do robienia pieniędzy i tylko pieniędzy, dopóty nie może być mowy o artyzmie. Sądzę, iż tę gorzką prawdę uświadomiły sobie nasze sławy na wspomnianym koncercie.

Zafascynowany głosem i talentem Roberty zastanawiałem się, która z naszych śpiewających pań (a mamy ich w kraju bardzo dużo) zdecydowałaby się na robienie takiego repertuaru. Pomijam już rewelacyjny, podobny do brzmienia skrzypiec głos Roberty. Szło by mi raczej o podobny upór i konsekwencję działania.

Myślałem długo i nie znalazłem odpowiedniej kandydatki. Albowiem prócz trudnej umiejętności swobodnej interpretacji Roberta Flack posiada dodatkową przewagę nad każdą potencjalną rywalką — gruntowne wykształcenie muzyczne. Kończąc Uniwersytet Howarda na wydziale muzycznym, uzyskała dostateczną wiedzę nie tylko o murzyńskim bluesie, ale i o całej klasyce. W trakcie swej pracy pedagogicznej zajmowała się wystawieniem „Aidy" Verdiego. Jest także biegłą (co ujawniła na koncercie) pianistką. Czyż w takim zestawieniu nie ujawnia się przepaść, jaka dzieli nasze gwiazdy od sztuki?

Lekcja, udzielona przez Murzynkę naszym wykonawcom, jest wystarczająco pouczająca. Warto wyciągnąć z niej wnioski.

DROGI KOLEJARSKICH LOSÓW

DO NIEDAWNA temat pracy znajdował się w kącie warsztatu współczesnej powieści. Jednym z powodów była tradycja związanej z tym gatunkiem ułatwionej dydaktyki społecznej. Tradycja demonizowana. Fakt, że istniał kiedyś mariaż łatwego morału z uproszczoną stylistyką nie dowodzi, że poetyka takiej powieści może mieć tylko ten jeden kanon. Jeśli nie można mówić o sukcesie czytelniczym tego nurtu prozy, winien nie temat. Winien niedostatek artystycznych kwalifikacji paru autorów.

Czym innym jednak jest praca, a czym innym środowisko pracownicze. Autor dokonujący wyboru między nimi zdaje sobie sprawę z różnicy w traktowaniu materiału pisarskiego, którą dokonany wybór pociąga. W pierwszym przypadku do głosu dochodzi postawa moralisty, publicysty, rzecznika, a bohaterem jest trochę abstrakcyjnie widziana dziedzina życia społecznego; w drugim wyraża się skłonność obserwatorska, rejestratorska, narracyjna, a treścią przekazu jest szeroka panorama osób i wydarzeń. Która z dwu ewentualnści jest realizowana, zależy od temperamentu autora i rodzaju świadomości czytelniczej, do której powieść jest adresowana.

Adolf Lekki to autor, który dał się poznać lubelskiemu czytelnikowi ze swoich predylekcji do penetrowania zjawisk z pogranicza czasów: tuż przed wojną — okupacja — zaraz po wojnie. Takie są „Bezdroża", „Zmierzch", „Niespokojny Zachód". Obecnie wyszła z druku jego powieść „Dalekie drogi" *), której akcja przypada na wymieniony kalendarz. Jest to niewątpliwie skłonność widzenia rzeczywistości w jej stadium stawania się, w kontrowersji dynamicznych wydarzeń. Taka jest geneza naszej teraźniejszości i cała proza, która chce nam ukazać właściwe oblicze dnia, posługując się zazwyczaj przedstawianiem planów: teraźniejszość wzbogacana retrospekcją. Czyżby wciąż jeszcze nie wygasło zainteresowanie dla okupacji? Niewątpliwie. Może nawet wyraźniej widać to na przykładzie filmu.

Ale jak nie uformowana jeszcze rzeczywistość, tak nie uformowani jeszcze ludzie, ludzie stający się pod wpływem wydarzeń — oto obsesja tego autora wyrażona w „Dalekich drogach" w sposób nie budzący wątpliwości. Zegarek tej powieści nie pozwala sobie na najmniejsze spóźnienie (nic dziwnego powieść o kolejarzach). Jak z okna wagonu patrząc nie mamy czasu na kontemplacje wykraczające poza nasuwający się ciąg obrazów, tak w powieści narracja jest prowadzona po linii wypadków, może nawet ze szkodą dla refleksyjnej tkanki utworu. I właśnie one formują bohatera. Bohater ciągle staje się ciągle zostawia za sobą kryteria i motywacje, nie tyle może samemu wybierając, co otrzymując od życia nowe. Tu nawet zauważamy następną właściwość „Dalekich dróg", jeśli chodzi o ich zawartość światopoglądową: bohater nie kreuje siebie, nie tworzy z wysiłkiem i samowiedzą wzoru humanistycznego, wystarczy mu być w miarę uczciwym, a wybór między postępkami nasuwa mu się sam. W ten sposób los Władka Abramskiego ukazuje właściwości historii, która wnosiła miary wartości i ukazywała je w świetle wystarczającym do dokonania wyboru. Lekki w tkance fabularnej uniknął dodatkowo tego, co poprzednio zostało nazwane łatwą dydaktyką. Szkoda tylko, że nie uniknął jej całkowicie w dialogach.

Bo właśnie dialogi są najmocniejszą stroną powieści. Jest ich tyle, że można tekst uznać za ciąg sekwencji scenicznych! W każdym razie one najlepiej wyrażają nerw dramatyczny utworu. Zresztą należy powtórzyć, że postaci mają tu o czym rozprawiać. Rzeczywistość i autor nie skąpią im powodów do wymiany zdań, do nieporozumień, do scysji. W ogóle życie w „Dalekich drogach" jest odmalowane wystarczająco barwnie, a ponieważ jest to życie zamknięte w czasie dynamicznym, nie brak tam scen o różnym charakterze. Mamy i poświęcenie i tchórzostwo, oddanie sprawie i oportunizm, postaci godne podziwu i margines społeczny. Może nawet za dużo tego, czasem bez selekcji i konieczności artystycznej, ale winić o to zmysł spostrzegawczy autora który zawsze notuje wiele z otaczającej go rzeczywistości.

Dodajmy na koniec, że jest to najbardziej „lubelska" ze wszystkich powieści Lekkiego, który już ma spore zasługi we wzbogacaniu wątkami powieściowymi geografii naszego regionu. Tym razem autentyk samego miasta pada gęsto i często, jakby powieść swoją główną podnietę czerpała ze źródeł autobiograficznych, co oczywiście jest tylko czytelniczą sugestią.

Książka jest wydana starannie z wyjątkiem jednego szczegółu. Na okładce jako rok wydania widnieje 1975, podczas gdy „metryczka" informuje, że druk ukończono w sierpniu 1976 roku. Mała rzecz, a smuci.

Kazimierz Rogalski

*) Adolf Lekki: „Dalekie drogi", Wydawnictwo Lubelskie, 1976, str. 258, cena 25 zł.

PIERWSZA OSOBA LICZBY POJEDYNCZEJ MY

Jerzy Krzysztof Misiec

DO literatury wkraczają młodzi. Jeszcze się nie nazwali, jeszcze nie są pokoleniem, orientacją ani żadną najnowszą falą. Wchodzą jednak odważnie, nie przez kuchenne drzwi, idą śmiało głównym wejściem, a żeby ich wpuszczono bez zbędnych targów niosą ze sobą zamiast biletów — MANIFESTY.

Porcją takich manifestów uraczyła nas we wrześniowym numerze redakcja „Poezji" dając tym samym dowód, że wciąż śledzi najistotniejsze przejawy naszego życia literackiego. Zastanawiająca to i bardzo dyskusyjna lektura, z którą polemizować będą z pewnością przedstawiciele starszego pokolenia i rówieśnicy autorów manifestów. Jest to zjawisko, do którego wszyscy młodzi piszący będą musieli się ustosunkować, ale nie w stylu Naczelnego „Poezji". Pisze Drozdowski w nocie 9 numeru: „Ale niech piszą, niech się bawią, niech mają przekonanie, że wypełniają misję", stawiając siebie w roli bardzo tolerancyjnego tatusia, który daje dzieciom piaskownicę (znaczy się kolejny numer pisma) i pozwala im się bawić w lepienie babek (znaczy się pisanie wierszy i manifestów). Dzieci zaś nie dość, że dowiedziały się gdzie i czym babki stawiać, to jeszcze próbują stworzyć nową koncepcję, która dawałaby odpowiedź na pytanie: jak i jakie?

Nowi manifestanci podjęli ostrą polemikę z „Nową Falą" i rzucają argumenty przemawiające: a) za słusznością ich koncepcji poezji, b) za „Wielką Mistyfikacją Rzeczywistości poezji Nowej Fali" (Grupa Wspólność). Sytuacja normalna, musi powiedzieć swoje „dzień dobry". Kwestia tylko w tym, na ile słuszne są te argumenty i co wnoszą nowego.

Numer prezentuje manifesty grupy „Terra" „Wspólność" „Ugrupowania warsztat" i krakowskiej grupy „My" (o której później). Trzy teksty autorstwa Jana Grzegorza Głuszaka z Tarnowa znalazły się w numerze tylko na zasadzie wstawki humorystycznej, bo ich naiwny, trywializujący, biblijno-proroczy styl nie znajdzie odbiorcy w naszej kulturze lat siedemdziesiątych. Wspólną cechą pozostałych jest niekonsekwencja w formułowaniu niektórych założeń, chęć obrony indywidualności artystycznych. O ile jednak manifest grupy „Terra" pozbawiony jest tylu sprzeczności wewnętrznych, co „Wspólności", to nie jest wykładnikiem jakiegoś zasadniczego przełomu światopoglądowego.

Głównym obszarem penetracji staje się język poezji — „przedmiotem naszej żywej uwagi jest praca nad warsztatem". Zrewolucjonizowanie języka poetyckiego ma zrodzić nową w formie i treści poezję. Sytuacja młodej poezji, jaką kreśli grupa „Terra", jest wręcz tragiczna, kryzys wartości w sztuce XX wieku idzie w parze z całkowitym rozkładem języka, który staje się tworzywem niepewnym, kruchym, omal nieprzydatnym. „Nie oznacza to, — czytamy w manifeście — iż obca nam jest świadomość, że pewne myśli domagają się wypowiedzi nawet na gruzach składni" (ciekawym, jaki jest stosunek językoznawców do owych gruzów). Uzdrowienie poezji zależy więc od uzdrowienia języka (metafory) jakim się posługuje. „ Nieprawdą jest, że w poezji wszystko jest równouprawnione; w ostatecznym rozrachunku liczy się bowiem to, co ją kształtuje i ocala". A więc forma lub treść. Dalej czytamy: „I...I dopuszczamy równouprawnienie wszystkich form, bowiem w dorosłym wieku literatury mają one jednak owe prawo obywatelstwa".

Co więc jest dozwolone, a co nie?

Wydaje się, że obecnie manifestanci są mniej zaangażowani w problemy światopoglądowe w poezji. Programy z lat 1960—70 koncentrowały się przede wszystkim na kwestiach światopoglądowych. Nowy światopogląd był bodźcem do wypracowania nowego języka, który traktowano jako formę w jakiej nowe treści zostaną podane.

Rzeczą godną podziwu u wszystkich obecnych manifestantów jest ich zdolność do błyskawicznego samookreślenia teoretycznego tak jakby nie istniał powolny przecież proces gromadzenia doświadczeń poprzez potknięcia czy też chwilowe klęski. Manifesty przypominają mi świadectwa dojrzałości, które przecież pełnej dojrzałości nie gwarantują. Są one ewentualnie wykładnikiem pewnej dojrzałości teoretycznoliterackiej, bo prak-

POD PARAGRAFEM

Po prostu wstyd

PEWIEN pan z Biłgoraja był żonaty i dzieciaty oraz miał auto. Więc rodzina w komplecie. Niestety, rozwiedli się 10 maja br. i następnego dnia z rana on przyprowadził do mieszkania swojej matki dziewczynę imieniem Krystyna, z którą już poprzednio utrzymywał zażyłe stosunki, mówiąc oględnie.

Byłej małżonce tego pana, 30-letniej Wandzie, pracownikowi umysłowemu, własne dziecko jeszcze w tym samym dniu powiedziało, iż tatuś ma kochankę. A przebywała wtedy u Wandy jej siostra, 37-letnia Lucyna, pracownik umysłowy stołecznego ministerstwa. Toteż obie panie natychmiast udały się do mieszkania Krystyny, której jednak nie zastały. Zastały tylko jej siostrę, 23-letnią Danutę, przy mężu, wraz z 4-letnim synem. Należy dodać, że Wanda i Lucyna nie znały Danuty, a mąż tej ostatniej był w pracy akurat.

Do tej pory są to fakty względnie bezsporne. Ponieważ przy zajściu nie było świadków, dalej można już tylko polegać na zeznaniach stron. W każdym razie wszystkie trzy niewiasty ucierpiały nieco na ciele w wyniku tej wizyty i tutaj doniero sprawa się zaczyna, a raczej osiem spraw sądowych, jeśli liczyć rewizje.

20 maja Danuta wniosła do sądu oskarżenie przeciwko Lucynie i Wandzie, każdej z osobna, o pobicie. Że Lucyna ją uderzyła neseserem, a następnie obie leżącą skopały i uderzyły dziecko w twarz. Przedkłada zaświadczenie lekarskie o doznanych urazach. Strony nie chciały się pogodzić przed sądem i wyznaczono termin rozpraw na 14 czerwca.

14 czerwca Lucyna i Wanda, każda z osobna, wniosły do sądu oskarżenie przeciwko Danucie. Że obrażała ich godność osobistą wyrazami powszechnie uznanymi za obraźliwe oraz pobiła je, a szczególnie Lucynę, kawałkiem metalowego karnisza. Zaświadczeń lekarskich nie przedłożyły. Owszem, pogodzą się z Danuta, jeśli ona wycofa swoje oskarżenie. Do ugody nie doszło i wyznaczono termin kolejnych dwu rozpraw na 30 czerwca.

Różne były rozważane zagadnienia. Miała Lucyna neseser ze sobą dnia tego, czy nie miała? Był wówczas w domu Danuty kawałek metalowego karnisza, czy nie było i gdzie on teraz jest? Czym Danuta przesuwa firankę — kawałkiem metalowego karnisza czy resztką plastikowej anteny? Miała Danuta wtedy długie paznokcie, żeby mogła podrapać, czy nie miała?

Ostatecznie w pierwszych dwu sprawach sąd warunkowo umorzył postępowanie wobec Lucyny i Wandy na rok próby, przysądzając od każdej oskarżonej po 3000 złotych na konto TPD w Biłgoraju, po 900 złotych opłat sądowych i po 200 złotych na rzecz Danuty jako zwrot kosztów procesu. Wyrok zapadł 2 lipca. 1 września złożyły rewizję oskarżone, wobec czego 8 września złożyła rewizję Danuta. Akta poszły do Zamościa i tam czekają swojej kolei.

Tymczasem jednak toczą się sprawy Lucyny i Wandy przeciwko Danucie. Strony powołują kolejnych świadków — ciocie, babcie, teściowe. Niewiele to wnosi, sąd może najwyżej dowiedzieć się, że ktoś komuś kiedyś weków nie pozwalał gotować. Mimo niekorzystnego wyroku w poprzednich sprawach Lucyna i Wanda twardo obstają przy swoim — ukarać przykładnie Danutę i obciążyć ją kosztami postępowania. Danuta twierdzi, że oskarżenie wyssane jest z palca. Powstaje problem, gdzie na przykład przebywa były mąż Wandy — u mamusi czy w Janowie z Krystyną, gdzie podobno prowadzą sprzedaż kwiatów? Były mąż na tę okoliczność się nie wypowiada całkiem jasno, w każdym razie stwierdza, że w dzień po rozwodzie nie przyprowadził Krystyny do mieszkania swojej matki.

Wyrok w obu tych sprawach zapada 4 września. Sąd uniewinnia Danutę z zarzutów oskarżenia, uznając, iż nie mogła ona być stroną atakującą. Znajdowała się sama w domu z 4-letnim dzieckiem, tamtych było dwie. Jeśli Lucyna i Wanda mają jakieś zadrapania, zadane przez Danutę, to zapewne stąd, że występowała ona w obronie własnej. Od Lucyny i Wandy zasądzono po 500 złotych tytułem opłaty sądowej i po 970 złotych na rzecz Danuty jako zwrot kosztów procesu. 11 listopada obie oskarżycielki prywatne wniosły rewizję od tego wyroku. Akta pójdą do Zamościa, gdzie będą czekały swojej kolei.

Wszystkie te sprawy zajęły w sumie dziesięć posiedzeń sądu, panie się wykosztowały na adwokatów i jeszcze się wykosztują. I pomyśleć, iż cała heca dotyczy jednej szarpaniny między niewiastami, które się nie znały. Zawsze sądziłem, iż tzw. pyskówki są specjalnością ludzi wiejskich. Okazuje się, że i miejskie pracownice umysłowe potrafią swoje sprawy załatwiać nieelegancko, a potem się prawować do upadłego. Wstyd, proszę pań, wielki!

pom

HOROSKOPY

Ważne od dnia 27 XII 1976 do 9 I 1977

BARAN
21 III – 18 IV

Problem, który ostatnio zaczął cię nieco gnębić, uda ci się rozwikłać w miarę szczęśliwie. Jest jednak pewne „ale": zbyt często starasz się postępować apodyktycznie. Inni to widzą i przy najbliższej okazji mogą ci wypomnieć. Nie będzie to zbyt przyjemne.

BYK
19 IV – 20 V

Wpakowałeś się w śmieszną kabałę, ale mogłeś się tego spodziewać już znacznie wcześniej. I tak miałeś sporo szczęścia. Wszystko wróci do normy, ale pewien niesmak jeszcze długo pozostanie. Radzić sobie musisz przede wszystkim sam, bo na pomoc kolegów czy koleżanek liczyć zbytnio nie możesz, chociaż... Pewna osoba osłodzi ci nieco te trudne dni. Więcej, przynajmniej na razie, nie możesz się niczego spodziewać.

BLIŹNIĘTA
21 V – 20 VI

Sylwester zapowiada się przyjemnie pod warunkiem jednak, że nie nadużyjesz alkoholu. Twoje skłonności w tym kierunku są wszystkim dobrze znane. Stajesz się wówczas agresywny, co powoduje określoną reakcję wśród otoczenia. W pracy musisz wykazać więcej odpowiedzialności. Osoby spod znaku „Bliźniąt", które w tym roku szkolnym będą zdawać maturę, powinny już teraz solidniej wziąć się do nauki.

RAK
21 VI – 22 VII

Niezły okres w twoim życiu. Przede wszystkim wielu osobom spod znaku „Raka" polepszyła się sytuacja finansowa. Jeśli i ty do nich należysz, musisz teraz zacząć bardziej oszczędnie gospodarzyć. Niestety, potrzeba tu trochę wyrzeczeń, ale są one konieczne, jeśli pragniesz swe plany zrealizować już w tym roku.

LEW
23 VII – 22 VIII

Kiedy wreszcie nauczysz się punktualności? Z uporem godnym lepszej sprawy nie dotrzymujesz terminów i przez to sam sobie szkodzisz. Posiadacze samochodu — urodzeni pod znakiem „Lwa" — powinni teraz szczególnie uważać i zatroszczyć się o pełną sprawność maszyny. Łatwo wpaść w poślizg.

PANNA
23 VIII – 22 IX

Czeka cię niespodziewany wyjazd lub propozycja takiego wyjazdu. Jeśli będziesz reprezentować swoje przedsiębiorstwo, uczelnię lub szkołę, musisz się szczególnie przygotować, aby się nie ośmieszyć. Należy też uważać, aby przy okazji opuszczenia domu na krótki okres czasu nie wpaść w tarapaty natury seroowej.

WAGA
23 IX – 22 X

Po wyjaśnieniu sprawy sytuacja domowa ustabilizowała się i wszystko zmierza ku dobremu. Zaufania, którym cię obdarzono, nie powinieneś lekceważyć, bo następnym razem finał może być mniej optymistyczny. Masz dobry okres, warto zagrać w Toto-Lotka, ale nie szarżuj z kuponami.

SKORPION
23 X – 21 XI

Znowu niepotrzebnie się unosisz, denerwujesz siebie i innych, a przecież nie zawsze to, co w twoim mniemaniu jest epokowe, znajduje potwierdzenie w rzeczywistości. Niekiedy warto korzystać z rad innych, zwłaszcza że są tacy, którzy ci dobrze życzą.

STRZELEC
22 XI – 21 XII

Gubi cię temperament, jeśli tak to można nazwać. Wypowiadasz opinie, które nie znajdują pokrycia w rzeczywistości. Ludzie są pamiętliwi, ty o tym zwykle zapominasz. Wszystko trzeba najpierw dokładnie przemyśleć, warto też poradzić się kolektywu. Wiesz, jak cię nazywają? Zosia-samosia.

KOZIOROŻEC
22 XII – 20 I

Nie zawsze słuchasz tych, których słuchać powinieneś. Są tacy, którzy ci szczególnie nadskakują uważając, że w razie awansu będziesz o nich pamiętać. Moja rada: bardziej uważaj na tzw. przyjaciół, zwłaszcza tych, którzy nie stronią od kieliszka. Pewien domowy kłopot wyniknie nie z twojej winy, ale wykaż odpowiedni takt. Dzisiaj ludzie są dość nerwowi.

WODNIK
21 I – 18 II

Tę sprawę załatwiłeś nadspodziewanie dobrze, powinno to procentować w przyszłości. Zastanów się jednak, czy niekiedy nie mówisz zbyt wiele? Nie chodzi o to, abyś stał się przysłowiowym sfinksem, ale po prostu o to, abyś nie popełniał podobnych błędów, jakie cechują sporą gromadę ludzi urodzonych pod znakiem „Strzelca".

RYBY
19 II – 20 III

Raz wykazujesz pokorę, a kiedy indziej wszystko chciałbyś mieć natychmiast. Owszem, należy się cenić, ale nie trzeba zaraz wpadać w zarozumiałość i brać się za rzeczy, które albo nie wychodzą, albo po prostu na nie za wcześnie.

Stella

PRASA LUBELSKA PISAŁA

PRZED 100 LATY

1877

Godzina bije na zegarze świata
Starca — rok przeszły — przyjmują dzieje
W objęcia

NOWY ROK ZIEMIĘ SPLATA

Czyż znów nam zrodzi łzy i — nadzieje?

●

Według brzmienia nowej ustawy o języku urzędowym w Prusiech, wszelkie władze obowiązane są tak w stosunku ze stronami, jako też między sobą używać wyłącznie języka niemieckiego. Berlińska „Volksztg"; opierając się włącznie na owem „brzmieniu" rzeczonej ustawy, domaga się ukarania profesorów uniwersyteckich Zellera i Dilmanna, ponieważ pierwszy na czarnej tablicy w uniwersytecie, a zatem w drodze urzędowej, swe wykłady, a drugi w tem samym miejscu objęcie rektoratu, zapowiedział w języku łacińskim.

●

Teatr, zapełniony publicznością od podłogi aż po sufit z wyjątkiem lóż literowych, zadowolił zupełnie tych wszystkich, którzy wczoraj pierwszy raz w tym roku, zwiedzili jego podwoje. Odegrano pierwszy akt „Wesela w Olcowie", dalej zamiast zapowiedzianej na afiszu „Żony u wód", która z powodu nieprzewidzianych okoliczności na scenie ukazać się nie mogła, dano po raz drugi wesołą i żywą farsę Kotzebuego: „Fips, krawiec damski".

●

Niejednokrotnie już zdarzało się nam spotkać w piśmiennictwie naszym z rozmaitymi zarzutami, czynionymi młodzieży. I tak zewsząd słyszeć się daje, iż młodzież nasza, oddana sama sobie, z każdym dniem coraz więcej manifestuje swoją ospałość, lenistwo ducha, czczość umysłową, ubóstwo myśli, jałowość dążeń, poziomość życzeń, sarkazm, pogardliwą apatię dla wszystkiego co wyższe, duchowe, brak życia, energii, solidarności między sobą, względem starszych brak poszanowania itd. itd. (...). Te i tym podobne filipiki trwają od tylu już lat, że stały się dziś wreszcie wytartym liczmanem, jednym ciągłym i przeciąganym wykrzyknikiem. Czas by więc rozpatrzeć się nareszcie, skąd się biadania te wzięły, i co są warte.

●

Druga maskarada odznaczyła się wielce intrygującym... milczeniem maseczek. Z kostiumów wybitniejsze były pajac i z niezwykłym życiem tańcujący turek.

●

Trzecia maskarada przewyższyła nasze oczekiwania. Osób było trzysta kilkadziesiąt: wpływu dwieście kilkanaście rubli, kostiumów eleganckich, charakterystycznych dużo, cóż, kiedy intryga w ogóle szła opornie. Nadto słyszeliśmy jeden jeszcze ale dotkliwy zarzut zrobiony niektórym tancerzom szpecącym naszego ślicznego mazura zbyteczną szarżą i dodatkami, które wcale do niego nie pasują. Niech tam sobie ktoś u nas psuje takimi dodatkami, kotyliona lub kontredansa, kiedy już inaczej tańiec dla niego nie ma dość powabu. Ale mazura nam żal prawdziwie.

●

Z czwartej maskarady. Maska niewieścia do niepowabnego mężczyzny: Znam cię maseczko! — Ach, przepraszam pana, myślałam że to maska...

●

Mężczyzna 60-letni do damy zamaskowanej, którą prowadzi pod rękę: — Ja się tam w romanse nie bawię! Dama: Wierzę bardzo, pańskimi romansami chyba inni bawić by się mogli.

●

Dandy podszarzany do czarnego domina: — To ty maseczko, o znam cię, znamy się od dzieciństwa! Domino: — Zmiłuj się, nie mów tak głośno. Przynajmniej pod maską niech za młoda uchodzę.

„Kurier Lubelski"

PRZED 50 LATY

MŁODE MAŁŻEŃSTWO

— A kiedy będziesz jego żoną
Umiłowaną, poślubioną
To mąż na wdzięki twe niełasy
Ucieknie na Redutę Prasy
— A nie chcąc same siedzieć w domu
W kostiumie w masce po kryjomu
Żadna obłędnych jakichś uciech
I ty się znajdziesz na Reducie.

„Głos Lubelski"

Wybrała: **Zofia Luchowska**

tycznym dowodem może być jedynie poezja.

Uniwersalną cechą wszelkich manifestów i programów poetyckich jest ich deklaratywno-doktrynerski charakter. Im więcej w nich poglądów likwidatorskich, negujących niemal absolutnie dokonania i poezjo-pogląd poprzedniego pokolenia, tym bardziej manifesty wydają się być awangardowe i rewolucyjne. Wytwarza się sytuacja, w której młodzi wkraczając na rynek literacki oskarżają swoich starszych kolegów (tak, tak kolegów) o bałagan na owym rynku, jałowość dokonań poetyckich, skostniały światopogląd i założenia artystyczne. Rozpoczyna się pozorna walka pokoleń, w której na pierwszy ogień idzie manifest — wyraz nowej, wkraczającej osobowości. Tylko, że w gramatyce jaką się posługuje pierwsza osoba liczby pojedynczej brzmi — MY.

Jednostce trudniej jest demolować hierarchie układów literackich, doktrynerr, likwidator działając samotnie jest skazany na porażkę, zaś pogląd likwidatorski, doktrynerski podpisany przez grupę wydaje się być prawdą obiektywną.

„Nie wyjaśnia niczego Ingarden. Jakobson. Sławiński". „Jest kilku dobrych i nie ma więcej" — orzeka Wspólnota zastrzegając jednocześnie: „Nie może być członkiem Wspólnoty artysta wygłaszający swój program w sposób doktrynerski i likwidatorski". W grupie owszem, można likwidować tych i tamtych, indywidualnie — broń boże.

Potrzeba bycia w grupie jest w pewnym sensie uzasadniona i socjologicznie i organizacyjnie. Świadomość zagrożenia osobowości jednostki przez coraz bardziej skomplikowane relacje życia społecznego i wytwory kultury masowej — od której poezja stanowczo się odcina — zmusza do jednoczenia się w grupy, w których szansa „ocalenia" wydaje się być większa niż w działaniu indywidualnym. Tej szansy nie dają twory instytucjonalne jakimi są Koła Młodych. Młodych przeraża wizja anonimowego życia w tłumie, stłamszenia jednostki, manifestują więc swoją niezależność, indywidualność, oryginalność. Tworząc mikrospołeczność (grupę), próbują odizolować się od makro-społeczności, atakują swoich starszych kolegów za ich ciągoty socjologiczne. Następuje więc chyba odwrót od analizowania jednostki jako części społeczeństwa i w życiu społecznym tkwiącej, w stronę penetracji własnych prywatnych przestrzeni.

Najbardziej sensownym wydaje mi się program krakowskiej grupy „My" świadczący o dużej dojrzałości artystyczno-światopoglądowej autorów.

Na zakończenie wypada mi tylko zapytać: jak to się stało, że młodych zaprezentowała „Poezja" nie zaś „Nowy Wyraz — miesięcznik literacki młodych", o którego powstanie walczono ładnych kilka lat?

kultura 1976

FILM

● Istniejący dopiero od 5 lat zespół filmowy X, którego kierownikiem jest Andrzej Wajda, to w większości ludzie młodzi, którzy dopiero kończą okres stażowy. W tej chwili zespół zrealizował już trzy z sześciu odcinków serialu telewizyjnego „Sytuacje rodzinne". Feliks Falk pracuje nad filmem pełnometrażowym „Wodzirej" — którego akcja toczy się w środowisku ludzi estrady. Sam Wajda odszedł od tematów historycznych nakręcając „Człowieka z marmuru", o którym nic więcej nie chce powiedzieć ponad to, że jest to film współczesny.

● Widzowie radzieccy po raz pierwszy zobaczyli film z Chaplinem, mówiącym po rosyjsku. Był to dubbing filmu „Król w Nowym Jorku" — Chaplinowi pożyczył swój głos Innokientij Smoktunowski. Kończy się także dubbing innego głośnego filmu francuskiego artysty „Światła rampy".

● Od pewnego czasu w tym dziale nie zamieszczamy nekrologów — zbyt wielu głośnych twórców i ludzi kultury odchodzi z tego świata. Ale tym razem wyjątek, bo jakoś niemal bez echa w naszej prasie przeszła wieść o niedawnej śmierci czeskiego pisarza 65-letniego Vaclava Cztvrteka. A przecież to on właśnie jest twórcą słynnych postaci z filmów (także literatury) — Rumcajsa, Hanki i Cypiska. Czy i ewentualnie kto przejmie jego dziedzictwo jako autor dalszych przygód tych niezwykle popularnych już w całym świecie postaci — nie wiadomo.

● Włoski reżyser Michelangelo Antonioni przebywał ostatnio w Baku na kilku spotkaniach z filmowcami radzieckimi. Przed wyjazdem oświadczył, że swój następny film chciałby zrealizować w Azerbejdżanie i Uzbekistanie. Tematem ma być ochrona środowiska naturalnego, a raczej międzynarodowe współdziałanie w dziedzinie, w której Związek Radziecki ma tak piękne osiągnięcia.

LITERATURA

● Państwowy Instytut Wydawniczy ukończył już 30 lat. W pierwszym roku swej działalności wydał 23 pozycje, obecnie w ciągu roku jego nakładem ukazuje się 300. W sumie w okresie 30 lat — 6500 tytułów w łącznym nakładzie 130 mln egzemplarzy. PIW jest szczególnie zasłużony dla literatury, publikując klasyków polskich i obcych, współczesnych autorów polskich i zagranicznych, książki z zakresu historii kultury i cywilizacji, monografie, pamiętniki, teatralia, krytykę literacką itd. To PIW wydał dzieła zbiorowe, m. in. Kochanowskiego, Fredry, Norwida, Sienkiewicza, Prusa, Ajschylosa, Szekspira, Byrona, Heinego, Zoli, Conrada, Puszkina, Tołstoja i wielu innych.

● Edmund Niziurski wydał już 29 książek. Ostatnia z nich — „Eminencje i baliabancje" — cieszyła się wielkim powodzeniem, zwłaszcza wśród pracowników budownictwa, bo o ich środowisku była tam mowa. Ostatnio Niziurski ukończył nową powieść dla młodzieży pt. „Awantury kosmiczne", która mówi także o pierwszych miłościach naszych nastolatków. Przypomnieć warto, że niedawno Niziurski został laureatem plebiscytu „Orle pióro", organizowanego przez „Płomyk". Na warsztacie zaś autor ma książkę o środowisku menadżerów pod znamiennym tytułem „Urzędnicy wstają rano uśmiechnięci".

● Telewizja radziecka rozpoczęła nadawanie stałych programów pt. „Godzina poety". Cykl rozpoczęło spotkanie z Andrzejem Wozniesieńskim. Szukając materiałów do następnych audycji, odnaleziono m. in. nagrane na płytach głosy Błoka, Briusowa, Mandelsztamma i Wołoszyna, recytujących własne utwory.

● W Monachium odbyły się dwie wystawy polskie. Pierwsza prezentowała 110 prac ilustratorów naszych książek dla dzieci, druga 275 książek dla dzieci i młodzieży. Obie cieszyły się wielkim uznaniem zarówno fachowców jak i tysięcy zwiedzających.

MUZYKA

● Ponad 400 wykonawców wzięło udział w ogólnopolskich Targach Estradowych, które zakończyły się właśnie w Łodzi. Po niezbyt wesołych doświadczeniach lat poprzednich do Targów włączono w tym roku także programy poetyckie, monodramy i małe formy teatralne. W pewnym stopniu podniosło to poziom imprezy, ale zarazem nie wszystko, co pokazano, mogło się zmieścić w i tak obszernym pojęciu „rozrywka". Na Targi zaproszono także przedstawicieli gminnych ośrodków kultury, którzy wprawdzie z zainteresowaniem obserwowali występy, ale stwierdzili, że ze względu na wysokie koszta większości wykonawców nie będą ich mogli do siebie sprowadzić.

● W setną rocznicę tragicznej śmierci w Tatrach znakomitego kompozytora i taternika Mieczysława Karłowicza odbyła się w Katowicach konferencja muzykologiczna. Była ona poświęcona głównie Karłowiczowi i jego epoce oraz wartości jego muzyki dzisiaj. Ale mówiono także o historii polskiej muzyki od czasów średniowiecznych, kulturze muzycznej, budownictwie organowym itp.

● Po 40 latach nie tylko występów, ale przede wszystkim ciężkiej pracy nad swoim głosem, Elisabeth Schwarzkopf kończy karierę artystyczną. Uznawano ją zgodnie za jeden z najpiękniejszych sopranów lirycznych świata, a jej interpretację za niezwykle subtelną i precyzyjną. Specjalizowała się w trudnych operach Mozarta, a także pieśniach kompozytorów niemieckich i austriackich. Podczas jej występów na sali panowała idealna cisza, było wiadomo, że skrzypienie foteli lub kaszel na widowni spowoduje przerwę w występie.

OPINIE

● „Pisarze, kiedyś przeciwko adiustatorkom podejmujący straszliwe boje — połączone z uchwałami na konwektyklach Związku Literatów — aż nadto sprytnie zrozumieli swój interes i dzisiaj sytuacja zmieniła się o 180 stopni: niejeden literat — zarówno prozaik, jak i tłumacz — z podejrzanie wielką skwapliwością przyjmuje pomoc redaktorki ostatecznie porządkującej jego mało chlujny tekst". (Kazimierz Koźniewski — „Polityka" nr 50).

● „W Stanach Zjednoczonych jest na pewno obecnie trochę większe zainteresowanie Polską aniżeli na przykład — 50 lat temu. Jednak należy pamiętać, że świat dzisiaj jest zafascynowany nie tyle narodami, co mocarstwami. Stąd na przykład popularna na uniwersyteckich wydziałach slawistycznych w Ameryce jest przede wszystkim rusycystyka, traktowana przez studentów użytkowo, praktycznie. Natomiast Polska — dla przeciętnego Amerykanina — to są po prostu Amerykanie polskiego pochodzenia. To, co się dzieje poza ich kontynentem (...) jest jakąś arealną, mgławicową sprawą wzbudzającą zainteresowanie doprawdy bardzo nielicznych ludzi" (Maria Kuncewiczowa — „Czas" nr 51).

● „Polemika bez nazwisk jest jak chleb bez soli — nie do przełknięcia. Ale polemika z nazwiskami, w której nie ma niczego poza awanturą, spowodowaną chęcią, żeby zaczepić kogoś bardziej od siebie znanego i tym samym uzyskać rozgłos — jest jeszcze gorsza, jak przesolona jajecznica, nie do zjedzenia". (Daniel Passent — „Szpilki" nr 50).

TEATR

● Wrocław ma trzy eksperymentalne sceny, jakie nie istnieją w żadnym innym mieście. Obok Teatru Laboratorium oraz Teatru Pantomimy — istnieje tam „Teatr Instrumentalny", kierowany przez muzyka jazzowego Ryszarda Gwalberta Misieka, a działający pod patronatem tamtejszej politechniki. Ostatni program nosi tytuł „Preludia portretów". Nie widzieliśmy tego zespołu, więc trudno wydać ocenę, ale ponieważ widownia jest zawsze zapełniona można przypuszczać, że spektakle-koncerty są interesujące.

● Kolejny polski teatr — gdańskie Wybrzeże — ukończył 30 lat. Ma on dwie sceny: dużą w Gdańsku i kameralną w Sopocie. Placówka ta wystawiła dotychczas 355 premier, a przedstawienia obejrzało 7 milionów widzów. Każde pierwsze przedstawienie prezentowane jest załodze Stoczni im. Lenina.

● Zarząd Wojewódzki ZSMP i Oddział RSW Książka—Prasa—Ruch w Kaliszu zorganizowały w 10 wiejskich klubach Ruchu „teatry przy kawie". Zespoły amatorskie prezentują zarówno teksty literackie jak i publicystyczne, często w formie słowno-muzycznych montaży. Tekstem wyjściowym są także listy młodzieży, pisane do różnych redakcji.

WYZNANIA

● „Najwspanialsze przedstawienia telewizyjne powstawały w pierwszym okresie, gdy pracowało się metodą „na żywo" (...) My, aktorzy, już się zdemoralizowaliśmy, jest nam wygodniej z taśmą, nagrywaniem, stoiem montażowym. Nikt chyba teraz nie byłby zdolny do takiego wysiłku fizycznego, psychicznego. A tak naprawdę mnie osobiście przestał teatr telewizyjny interesować jako widza i jako aktorkę. (Zofia Kucówna — „Trybuna Ludu" nr 294).

● „Do moich miłych pamiątek należy list Valerego Giscarda d'Estaing'a z okresu, kiedy był jeszcze ministrem finansów. Prosił mnie o przysłanie oryginałów rysunków, na których przedstawiony był w towarzystwie „Marianny". Zwrócił przy tym uwagę, że wygląda na nich dosyć szpetnie i pociesza go jedynie fakt, że i Mariannie niezgorzej się ode mnie dostało. Wysyłając rysunki odpisałem, że był to jedyny list z jego resortu, który sprawił mi przyjemność, jako że dotychczas otrzymywałem stamtąd jedynie wezwania płatnicze". (Jean Effel).

● „Miernikiem uznania dla artystki nie są owacje, ale cisza między ostatnim dźwiękiem a początkiem oklasków. Im dłuższa, tym bliższy osiągnięto kontakt między wykonawcą a słuchaczami. Moim rekordem w tym zakresie była 21-sekundowa cisza, po której nastąpiła dopiero długotrwała owacja". (Elisabeth Schwarzkopf).

● „Ba, wolny czas. Zabrzmi to pompatycznie, ale o ten czas trzeba się „bić". To jest w miarę możności uchylać się od zajęć, obowiązków, zebrań, spotkań (...) Z tym wolnym czasem to w ogóle przedziwna historia. Wolny czas jest naprawdę wtedy, kiedy człowiek jest zwolniony od różnych działań fizycznych i psychicznych". (Tadeusz Hołuj — „Przekrój" nr 1653).

ZABYTKI

● Z okazji 70-lecia Muzeum Lubelskiego — najstarszej placówki kulturalnej w Lublinie — odbyło się uroczyste zebranie, na którym omówiono dotychczasowe osiągnięcia oraz plany dalszego rozwoju. Wielu pracowników otrzymało różne wyróżnienia i nagrody, a samo Muzeum złotą odznakę Zasłużony dla Lublina. Z własnych zbiorów eksponowano bogatą wystawę malarstwa obcego.

● Ministerstwo Kultury i Sztuki ogłosiło przed kilku laty stały konkurs na najlepszego użytkownika obiektu zabytkowego, przy czym chodzi o jednostki spoza tego resortu. Za kończący się rok I nagrodę zdobyło Zjednoczenie Państwowych Przedsiębiorstw Gospodarki Rolnej w Poznaniu — nie tylko za trudny i dobrze przeprowadzony remont kilku obiektów, ale także wzorowe ich utrzymywanie i eksploatowanie. Drugą nagrodę przyznano Przedsiębiorstwu Usług Technicznych PGR w Gdańsku, a trzecią Stadninie Koni w Racocie. Jak widać — przoduje resort rolnictwa.

● W peruwiańskich Andach, w części zupełnie dotychczas niedostępnej dla turystów, buduje się nowoczesną szosę. Ma ona stworzyć dostęp do kilku budynków, zbudowanych — jak się sądzi — jeszcze przed pojawieniem się Inków. Budynki te są pięciopiętrowe, ale wysokością odpowiadają dzisiejszym o wysokości 10 pięter. Są one zbudowane z głazów skalnych, a spajane w sposób, którego dotychczas nie udało się w pełni wyjaśnić. Całość otoczona jest wielkimi wałami z głazów, a obiekty tak usytuowane i wkomponowane w góry, że widać je dopiero z bardzo bliska.

● Pisaliśmy przed dwoma miesiącami o przygotowywanej w Sztokholmie wystawie dynastii Wazów — przy współudziale eksponatów z Wawelu. Okazało się, że od 10 lat żadna wystawa w Szwecji nie cieszyła się tak wielką frekwencją: w ciągu 6 tygodni zwiedziło ją 60 tys. osób. Na zakończenie odbyła się dyskusja polskich i szwedzkich historyków, która wykazała np., że w okresie Wazów były trzy wielkie fale emigracji szwedzkiej do Polski.

noty i notki

Byłem ostatnio w pewnym mieście wojewódzkim na imprezie, która nazywała się sejmikiem ekonomistów. Wygłoszono na nim trzy referaty na ważne i aktualne tematy. Teksty tych referatów uprzednio wydrukowano i wręczono uczestnikom, z czego wniosek, że albo niepotrzebnie je wydrukowano, albo niepotrzebnie odczytano. W tzw. dyskusji zabrało głos sześć osób, z których tylko dwie w kilku słowach nawiązały do omawianych tematów — pozostała część „dyskusji" albo była sprawozdaniami, albo dotykała spraw z referatami nie mających nic wspólnego. Czy już doprawdy wszyscy oduczyliśmy się prawdziwej dyskusji, gdy referentem jest doktor lub dyrektor?

Sam grałem kiedyś w tenisa i rozumiem zwolenników tej pięknej dyscypliny sportowej, zwłaszcza po ostatnich sukcesach W. Fibaka. Ale to już chyba duża przesada, jeżeli w niedzielny wieczór w obu programach telewizji — na czarno-biało i kolorowo — transmituje się jeden mecz przez ponad trzy i pół godziny. Wygląda na to, że zamiast popularyzować tenis — można go obrzydzić.

Bardzo bogate i hojne są Zakłady Gazownicze w Lublinie. Przed miesiącem przyłączyły do sieci domek po drugiej stronie ulicy, przy której mieszkam. I od tego czasu, to znaczy od miesiąca, na trawnikach leżą dwa metalowe mostki, ustawiane dla przejścia nad dawno już nie istniejącymi wykopami. W tej sytuacji zamierzam owe mostki sprzedać w znajdującym się 50 m dalej punkcie skupu złomu. Jest właśnie taka akcja skupu. Huta otrzyma dodatkowy surowiec, a ja kupię na święta dodatkowe pół litra.

Felietonista katowickich „Poglądów" Kora jest chyba jedynym w naszym kraju felietonistą, który o sobie zawsze pisze w trzeciej osobie. Można i tak. Ale nie można propagować picia absyntu, jak to zrobił Kora w nr 23. Absynt to piołunówka, której ze względu na duże zawartości szkodliwych dla zdrowia składników chemicznych w wielu krajach nie wolno produkować, od lat też nie produkuje się w naszym kraju. Jeżeli zaś Kora coś takiego „w przyjemnej restauracyjce w lasku pod Strzybnicą" pija, to popiera szkodliwą i nielegalną produkcję.

W prasie centralnej wyśmiewano się ostatnio z wielu nowych nazw, jakie wytwórcy nadali parasolom, szczotkom do zamiatania podłóg czy nocnikom. Ale my też nie jesteśmy gorsi. Lubelskie Przedsiębiorstwo Surowców Wtórnych ogłosiło, że od 2 grudnia skupuje w Puławach nie tylko makulaturę, ale również „zużytki włókiennicze". Chyba umysł wynalazcy owych „zużytków" był już nieco zużyty — i to bez cudzysłowu.

Jak zaciekawić czytelnika, aby rzecz przeczytał do końca? Zacząć od czegoś, co zaszokuje. Napisała więc pani Ewa Borkowska w „Czasie" (nr 51): „Tajemnica powodzenia science fiction leży między innymi i w tym, że jesteśmy — jakoby dziećmi Ewy, która jak wiadomo zaryzykowała swą nieśmiertelność, aby zaspokoić ciekawość". Zapomniała tylko pani Ewa (piszące), że gdyby Ewa (rajska) nie zaryzykowała, to by nie było tej drugiej Ewy (piszącej). Ponadto mam poważne wątpliwości, czy Ewie (rajskiej) chodziło tylko o ciekawość...

Istnieje u nas coś takiego jak Biuro Współpracy z Konsumentem „Opinia". Jak ujawnił tygodnik „Zwierciadło" (nr 50), Biuro przed dziesięciu laty rozpoczęło akcję „Wiewiórka", której celem było upowszechnienie mycia zębów przez dzieci. Piękna akcja. Kluby takich miłośników zrzeszają „już ponad 500 tysięcy uczniów". Kłopot tylko z tym, że każdy taki miłośnik mycia zębów może kupić pół szczoteczki rocznie, bo więcej się nie produkuje. W dodatku spośród 30 typów szczoteczek „specjalna komisja tylko 6 oceniła notą powyżej zera". Krótko mówiąc — miłośnicy mycia zębów są, tylko zębów nie myją, bo nie ma czym. Ale pierwsza część sprawozdawczości pięknie wygląda.

Ponieważ posiedzenia szkolnych rad pedagogicznych trwały nieraz trzy, a nawet cztery godziny, władze szkolne zarządziły, iż żadne zebranie w szkole nie może trwać dłużej niż półtorej godziny. Wobec tego dyrektor jednej ze szkół, jak podaje „Głos Nauczycielski" (nr 50), zarządził najpierw rady pedagogiczne nauczycieli tego samego przedmiotu, potem uczących w jednej klasie, przedmiotów humanistycznych, ścisłych itd. W rezultacie odbywa się pięć kadłubowych rad pedagogicznych, każda po półtorej godziny, a na koniec radzi całe gremium, też półtorej godziny. W sumie dziewięć godzin. Niezbadana jest pomysłowość rodaków w obchodzeniu przepisów.

JOD

ekran i widz

„Oddział"

KIRK Douglas — pierwszy raz zetknąłem się z tym nazwiskiem przed dwudziestu laty. W nie istniejącym już dzisiaj kinie „Koziołek" przy ul. Lubartowskiej wyświetlano pierwszy na polskich ekranach film panoramiczny „Indiański wojownik". Doskonale pamiętam reklamę filmu: na frontonie kina umieszczono ogromną, białą sylwetkę jeźdźca na cwałującym rumaku. Szeroki ekran, eastmancolor, no a przede wszystkim zupełnie nowa tematyka, którą moje pokolenie znało tylko z książek Coopera, Maxa Branda, Baxtera czy Zane Greya to była absolutna rewelacja!

Nie wiem już o co chodziło w filmie, w każdym razie było tam mnóstwo wojujących Indian, amerykańskich kawalerzystów (oskalpowanych i z włosami), wspaniałe zdjęcia prerii i płonącego fortu oraz bohaterska „blada twarz" usiłująca pogodzić białych z czerwonymi. To był właśnie Kirk Douglas: szczupły, zręczny, muskularny blondyn o pociągłej twarzy, z której wybijały się przede wszystkim szarobłękitne oczy i wyrazisty, ostry podbródek. Sekundowała mu czarnooka, pełna temperamentu młoda „Indianka", którą grała Elsa Martinelli. Nież to atramentu zużyli ówcześni krytycy dla opisania słynnej sceny pocałunku Elsy i Douglasa w rwącym, górskim potoku...!

Douglas wydawał się wówczas kwintesencją „Jankesa", Anglika przeszczepionego na grunt amerykański; dopiero później miało się okazać, że naprawdę nazywa się Issur Daniłowicz Demski i choć urodził się w Stanach Zjednoczonych, to jego rodzice są Rosjanami.

Kiedy zagrał w „Indiańskim wojowniku" miał lat już bez mała czterdzieści i dość „bujną" biografię filmową — udział w osiemnastu filmach, bardzo różnych zresztą pod względem gatunku: od kryminałów poprzez dramaty obyczajowe i filmy przygodowo-fantastyczne (np. „20 000 mil podmorskiej żeglugi") aż po westerny. Miał też ukształtowane aktorskie emploi — z reguły grywał silnych, często brutalnych amantów, choć w późniejszych latach zdarzały mu się role „psychologiczne", jak np. rola Van Gogha w „Pasji życia". W ciągu trzydziestu lat nakręcił 56 filmów (głównie w Ameryce), z czego w Polsce oglądaliśmy 16. Dał się poznać jako nieustraszony a przemyślny komandos, krwiożerczy Wiking, zbuntowany rzymski gladiator, bokser oraz sfrustrowany fachman od współczesnej amerykańskiej reklamy („Układ"), ale nam w Polsce najbardziej kojarzy się z gatunkiem westernowym jako specjalista od ról „kowbojskich".

Może wpłynęły na taki pogląd dwa filmy Douglasa, które właśnie na gruncie polskim miały szczególny rezonans: „Indiański wojownik", film mierny, ale będący przejawem nowych prądów w naszej polityce filmowej, i nakręcony w początku lat sześćdziesiątych doskonały „Ostatni kowboj" — jedna z najlepszych ról Kirka Douglasa — gorzka opowieść o porażce romantycznego mitu i romantycznych postaw w zetknięciu z brutalną rzeczywistością współczesnej cywilizacji. „Ostatni kowboj" zyskał na świecie rozgłos jako reprezentatywny przykład rodzącego się właśnie „anty-westernu". W Polsce trafił jeszcze dodatkowo na falę dyskusji na temat „bohaterszczyzny", jakiej miał być (dla niektórych) ilustracją, tylko że na gruncie amerykańskim. Kirk Douglas odwiedził też w 1965 r. łódzką Szkołę Filmową, gdzie dosiadał konia i brał — gościnnie — udział w „kowbojskich" scenkach zaaranżowanych przez tamtejszych studentów, co zresztą sfilmował Marek Piwowski.

Zbliżając się do sześćdziesiątki Douglas postanowił sięgnąć po laury reżysera filmowego. Jego „Oddział" można by określić mianem westernu politycznego (kolejny „rodzaj" w obrębie „gatunku"). Treścią filmu jest kampania wyborcza jaką prowadzi u schyłku ubiegłego stulecia szeryf Nightingale, ubiegający się o miejsce w senacie amerykańskim. Działalność szeryfa, której pozornie przyświecają tylko szlachetne cele (ujęcie groźnego bandyty), jest w istocie brutalną i cyniczną grą o upragniony fotel senatorski. Najmniej się w tym wszystkim liczą interesy ogółu. Westernowa szata nie przeszkadza przecież w odczytaniu „Oddziału" jako swoistego oskarżenia rzuconego przez Douglasa pod adresem stosunków politycznych i metod wyborczych w USA — i to nie tylko sprzed lat siedemdziesięciu.

Film ambitny, gorzki i wymowny. To pierwszy udany film Douglasa-reżysera, ale zarazem jakby początek pożegnania ekranu przez Kirka-kowboja. Filmowy partner Douglasa, Bruce Dern (zresztą o dwadzieścia lat młodszy), odnosi tutaj bezapelacyjne zwycięstwo przede wszystkim na gruncie aktorskim.

md

POCZTA LITERACKA

W. R. Warszawa. W pańskich wierszach słyszy się przekonywający, szczery ton. Ale jest równocześnie pewien brak napięcia, który obniża ich skuteczność. A już całkiem źle brzmią rozdane tu i ówdzie rymy mające udźwięcznić wiersz. Są nawet trochę naciągane. Poza tym ten temat: córka, syn. Okropnie to niewdzięczne. Powiedzieć, że się dziecko kocha? Banał. Zawrzeć oryginalną myśl? Odejść od prostoty tych uczuć. Pan się wikła w tych sprzecznościach.

M. R. Konin. Kto wymyślił dwukropek na początku wersu? Bardzo przepraszam — że wyrażam swój pogląd: te wszystkie sztuczki graficzne świadczą o niedowładzie wizji, niedowładzie siły lirycznej. U Pana jest to tym dziwniejsze, że interpunkcji Pan nie używa. No i ta skłonność do najłatwiejszego, dopełniaczowego metaforyzowania.

M. S. Boża Wola. Nie rozumiem określeń: „księżyc mierzy blaskiem złoci okrągłe jabłka", „z westchnienia krowy wyfruwała kuropatwy", „podłe wiatry mordy wietrzą, gdy im się los człowieka przyśni". Pan nie pisze wierszy. Pan „poetyzuje". Oddaje Pan to wszystko, co się zatrzymało w pamięci w trakcie drugorzędnych lektur.

„Omager". To samo. Proszę mi wytłumaczyć sens powiedzenia: „Niech zawiśnie na osi przełyku codzienna dawka spojrzeń".

W. S. Puławy. Ma Pan skłonność do asekuracji. Napisać wiersz, ale taki do którego nie będzie się można przyczepić. I rzeczywiście zarzucić niczego nie można, ale też nie można się poczuć przekonanym. Poezja to jednak jest ryzyko, a tego Pan nie podejmuje.

A.P. Lubartów. Zapatrzenie na to, co jest w dzisiejszej poezji suche, martwe, papierowe. Jak recenzja obfituje w mnogość krytyczno-literackich sloganów, tak wiersz przyswoił sobie pewną ilość zwrotów przyjętych za kanon współczesnego „poezjowania". Skąd ta maniera mimikry, koloru ochronnego? Rzecz w tym, żeby poszukać słów własnych. Jeżeli się to nie udaje, żadna satysfakcja powtarzać za kimś, choćby to powtarzanie było najbardziej udane. Zresztą — za kimś. Sęk w tym, że za nikim. Istnieje w powietrzu współczesności pewna moda poetycka, do której stosując się młodzi poeci mają wrażenie, że wyrażają siebie.

Z. G. Warszawa. Opowiadanie jest tylko rozprowadzoną prozatorsko metaforą. Byłoby dobrze, gdyby wyszła z tego groteska. Groteska ma te licencje, że jakaś „filozofia" niekoniecznie musi z niej wynikać, wystarcza gra słów. Tymczasem Pan „opowiedział" pewien poetycki zwrot, z czego nie wyszło nic poza dłużyzną.

J. Z. Lublin. Trudno mi powiedzieć „nie", ale na zupełne „tak" też się nie mogę zdecydować. Jest bystrość obserwacji, jest dociekliwość psychologiczna, ale za mało rzemieślniczego panowania nad materiałem. Wiem, że szewc niechętnie robi drugi raz tę samą parę butów, ale kto wie, czy w tym przypadku nie wyszło by na dobre. Proponowałbym to „przepisać na czysto".

B. S. Ostrowiec. Najzupełniej rozumiem pańskie wysiłki w celu uchwycenia nastroju, refleksji. Z tekstów też da się wyczuć zdenerwowanie spowodowane „złośliwością" słów, które się wymykają, kiedy zdaje się, że już — już zostały ujęte i przyporządkowane wierszowi. Ale będzie się Pan wikłał tak długo, dopóki nie uchwyci Pan różnicy między językiem prozy i językiem poezji. Ta różnica wbrew niektórym krytykom istnieje. Bo prozaizm wprowadzony do wiersza ma być w nim rozumiany jako prozaizm właśnie, a nie jako naturalny element poetyckiego języka. Jeśli Pan chce w kimś wywołać zainteresowanie jakąś sprawą, niech Pan nie mówi „nie wiedź się znieczulica". Nawet w prozie lepiej byłoby powiedzieć „nie powoduj się". Dla rytmu i dla rymu powstałby dziwoląg, niezależnie od tego, że sam zwrot to najoczywistszy, skrzeczący prozaizm.

G. S. Radom. Niepotrzebnie się Pani martwi na zapas. Jak na początek są to rzeczy całkiem sobie udane. Zachęcałbym tylko do częstszych lektur, bo widać, że z „obecnością" w poetyce współczesnej cokolwiek słabiej. W każdym razie przeczytałem z zadowoleniem i mam nadzieję coś jeszcze w przyszłości otrzymać.

T. B. Biała Podlaska, C. K. Kraków, E. M. Lublin, K. K. Warszawa — nie skorzystamy.

KRZYŻÓWKA (nr 26)

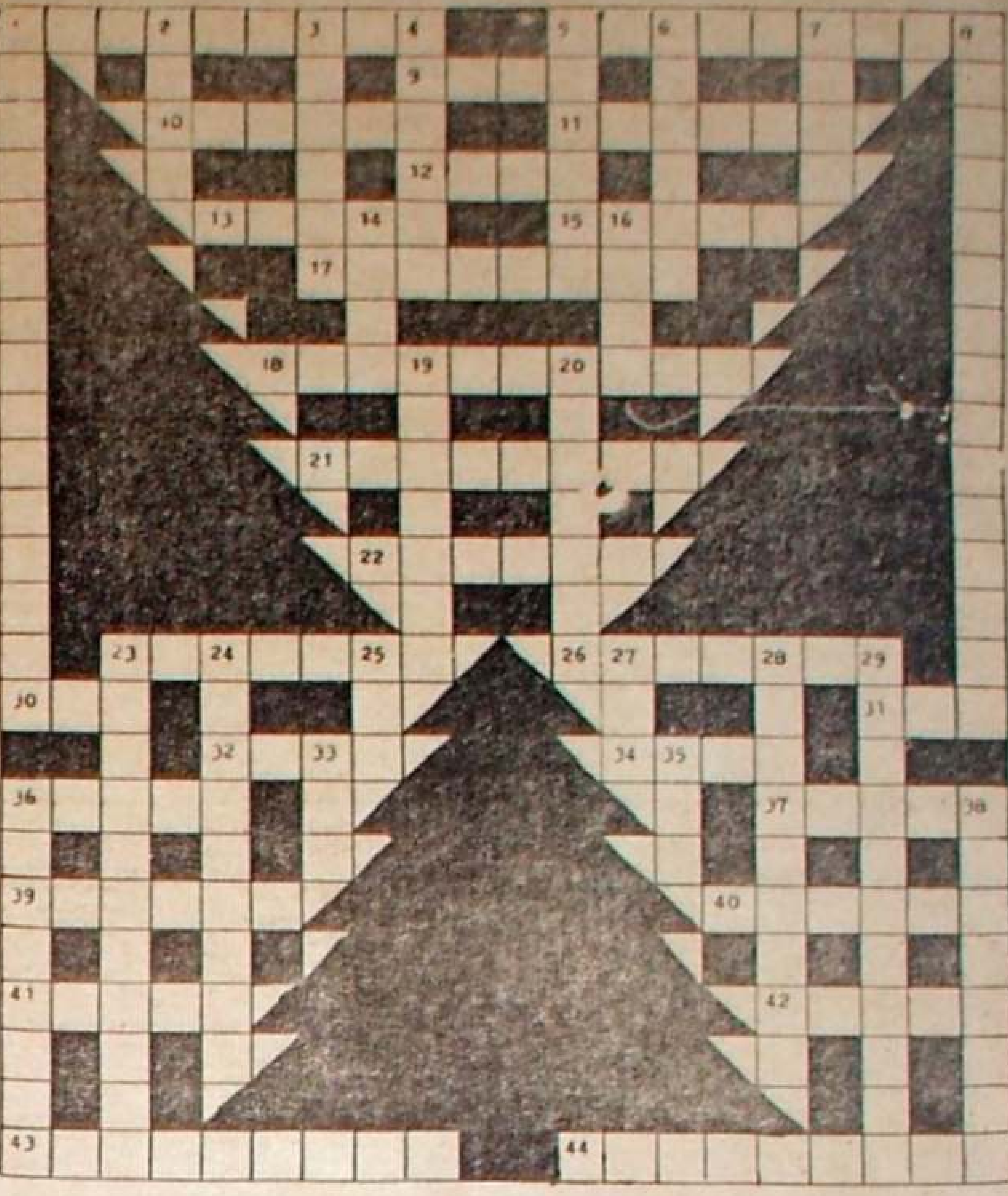

Poziomo: 1. surowiec na talerze, 5. ostatni solenizant roku, 9. pismo do adresata, 10. młode wolne państwo afrykańskie, 11. kuzyn kilofa, 12. szklane opakowanie, 13. zostaje po złamanym zębie, 15. Indianin z obecnego Meksyku, 17. największy wąż — dusiciel, 18. polka Mazowsza, 21. port, 22. wczesny świt, 23. miasto wojewódzkie, stolica miedzi, 26. samochód wycieczkowy, 30. fabryka w Poniatowej, 31. okres dziejów, 32. wyspa między Wenecją i Adriatykiem, 34. złudzenie, 36. płaskodenna mała jednostka pływająca, 37. zakładka na spódnicy, 39. zbiorowisko roślinności bagiennej, 40. autor „Próchna", 41. poprzednik pługa, 42. zespół ośmioosobowy, 43. niedawno zmarły słynny kompozytor jazzowy, śpiewak i trębacz, amerykański Murzyn, 44. wyspy środkowego Pacyfiku (m. in. Hawaje)

Pionowo: 1. adopcja, 2. państwo i jezioro w Afryce, 3. stan przedśmiertny, 4. stan — półwysep w USA, 5. nieruchoma część silnika elektrycznego, 6. umieszczenie kapitału, 7. robi gaz w wodzie, 8. ponowne uzbrojenie kraju rozbrojonego, 14. lipcowa solenizantka, 16. mistrz od pieców, 19. sałatka z ogórków, 20. twórca z dowolnej dziedziny sztuki, 23. wielka posiadłość ziemska, 24. Wyspy Żółwie, 25. opłata za przewóz towaru przez granicę, 27. część nogi, 28. sprężarka, 29. zastępował hetmana w dawnym wojsku polskim, 33. budynek mieszkalny, 35. legenda, 36. historyczne miasto — port nad Wołgą, 38. przeciwstawienie tezy.

Rozwiązania można nadsyłać pod adresem redakcji (skr. poczt. 231) w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru. Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bony książkowe.

Rozwiązaniem szyfrogramu z nr 24 był fragment „Życia Beethovena" Romain Rollanda:

„Jego słuch słabł stopniowo. Przez wiele lat nie przyznawał się nikomu, nawet swym najdroższym przyjaciołom: unikał ludzi, aby nie spostrzeżono jego choroby..."

Za prawidłowe rozwiązanie szyfrogramu nr 24 bony książkowe po 40 zł każdy wylosowali: Danuta Lerska 05-140 Serock „Agronomówka", Andrzej Grobelski 20-365 Lublin ul. Długa 88 m 1; Andrzej Kowalski 23-400 Biłgoraj ul. Graniczna 12; Artur Ziółkowski 85-838 Bydgoszcz, ul. Spokojna 9 blok 1/41.

listy do kameny

„LUBELSKI PIONIER WALKI Z GRUŹLICĄ"

W artykule Haliny Chabros pt. „Lubelski pionier walki z gruźlicą" („Kamena" nr 21 z br.), który przedstawia działalność nieżyjącego już dr Władysława Kwita, została omówiona — jakby marginesowo, bo zupełnie nie związana z głównym tematem — „działalność" jego żony Heleny. Do danych tych, zaczerpniętych widocznie tylko z zapodań ustnych dr Kwitowej i niestety nie sprawdzonych, wkradły się fakty wręcz nieprawdziwe, nigdzie nie odnotowane i mylnie jej przypisujące zasługi, jakie były bezsprzecznym wkładem w rozwój lubelskiej pediatrii nieżyjącego prof. dr Witolda Klepackiego.

To właśnie prof. dr Witold Klepacki, a nie dr Helena Kwitowa, współorganizował wspólnie z prof. dr Hanną Hirszfeldową Klinikę Pediatryczną w Lublinie, a po wyjeździe prof. Hirszfeldowej do Wrocławia był pierwszym kierownikiem tej Katedry przez wiele lat.

Ponadto to nie dr Kwitowa, lecz dr Joachim Juhnke był organizatorem Stacji Opieki nad Matką i Dzieckiem w Lublinie.

Dlatego też zwracamy się z uprzejmą prośbą do redaktora naczelnego o sprostowanie tych danych na łamach „Kameny", gdyż winniśmy to świetlanej pamięci naszego Nauczyciela i Profesora, dr. Witolda Klepackiego.

Jednocześnie wyrażamy przykre zdziwienie, że w „Kamenie" podano do publicznej wiadomości fakty niezgodne z prawdą, w oparciu o jedyne, jakże błędne źródło, to jest ustne zapodanie rozmówczyni, z którą red. Halina Chabros przeprowadziła wywiad.

Pracownicy Instytutu Pediatrii Akademii Medycznej w Lublinie, b. asystenci prof. Klepackiego: doc. dr med. Teresa Gerkowicz, doc. dr Irena Modzelewska, dr med. Sylwia Grzycka, dr Krystyna Ważna, dr Marta Klepacka ,dr Hanna Zdanowicz, dr med. Zbigniew Ślaski, dr med. Joachim Juhnke, doc. dr med. Bronisław Niewiedzioł.

Od redakcji: W kolejnym numerze „Kameny" autorka, współpracowniczka naszego pisma zajmie ew. stanowisko wobec poruszonej sprawy.

„MIESZCZANIN ROLNIKIEM"

W związku z artykułem Małgorzaty Sawickiej i Henryka Rygiera „Mieszczanin rolnikiem" zamieszczonym w „Kamenie" nr 18 z dnia 5.IX.1976 r. Ministerstwo Sprawiedliwości uprzejmie informuje co następuje:

Likwidacji sporów i licznych procesów między Januszem Szczepkowskim a jego wujem Władysławem Siła-Nowickim sprzyjać będzie uregulowanie stosunków własnościowych gospodarstwa rolnego w Wylęgach. Uzależnione jest ono od zakończenia postępowania spadkowego w sprawach o stwierdzenie nabycia spadku po Józefie Siła-Nowickiej (z wniosku Naczelnika Gminy i Miasta w Kazimierzu Dolnym) i o stwierdzenie nabycia spadku po dzieciach Wiktora i Józefy małżonków Siła-Nowickich oraz po Kazimierzu Pawłowskim (z wniosku Janiny Szczepkowskiej).

Wniosek Naczelnika Gminy i Miasta w Kazimierzu Dolnym nie wskazywał spadkobierców, którzy powinni brać udział w sprawie oraz nie podawał ich adresów.

Na kilku posiedzeniach sąd ustalił spadkobierców po osobach będących współwłaścicielami gospodarstwa rolnego w Wylęgach. Ponieważ oprócz Janiny Szczepkowskiej i Władysława Siła-Nowickiego są nimi również osoby zamieszkałe w Anglii i Związku Radzieckim, sąd zwrócił się do wnioskodawcy (Naczelnika Gminy i Miasta Kazimierza Dolnego) o złożenie wniosków zgodnie z wymogami dla pism procesowych, przeznaczonych dla doręczeń za granicę.

Z akt sprawy wynika, że Naczelnik Miasta i Gminy w Kazimierzu Dolnym zwrócił się do Wojewody Lubelskiego o przyjęcie prowadzenia sprawy przez Urząd Wojewódzki w Lublinie, ponieważ brak obsługi prawnej w Urzędzie Gminnym uniemożliwia prowadzenie sprawy o bardzo skomplikowanym charakterze. Urząd Wojewódzki w Lublinie nie podjął dotychczas żadnych czynności w sprawie.

Również w sprawie z wniosku Janiny Szczepkowskiej wnioskodawca wykazywał wyjątkową bezczynność. Postępowanie w tej sprawie było dwukrotnie zawieszane z powodu śmierci dwóch spadkobierców.

Zawieszenie postępowania ze wskazanych przyczyn uniemożliwiało Sądowi podjęcie dalszych czynności w sprawie, a to wobec nie wskazania przez wnioskodawcę spadkobierców po zmarłych uczestnikach postępowania.

W celu przyśpieszenia załatwienia tych spraw Prezes Sądu Wojewódzkiego w Lublinie zalecił rozważenie przez sąd orzekający możliwości zarządzenia łącznego rozpoznania tych dwóch spraw.

Ponadto Prezes Sądu Rejonowego w Puławach zobowiązany został do sporządzenia notatki sygnalizacyjnej obrazującej przebieg sprawy, występujące trudności w jej rozpoznaniu i podanie przyczyn zawieszenia postępowania i przesłania tej notatki do Wojewody Lubelskiego.

Nadto zauważyć należy, że określenie czynności sądowych mianem „sądowych celebracji i rytuałów" nie sprzyja umacnianiu autorytetu organów wymiaru sprawiedliwości w społeczeństwie, a lekceważący stosunek Autorów artykułu do obowiązujących przepisów i stosujących te przepisy organów państwowych nie przyczynia się do umacniania porządku i dyscypliny społecznej.

Rzecznik Prasowy
Ministerstwa Sprawiedliwości
Alojzy Stokowski
Sędzia Sądu Wojewódzkiego
w Warszawie

„MIĘDZY NAMI DŻENTELMENAMI"

Janusz Styczeń nie przywłaszczył sobie rękopisu opowiadania Zbigniewa Włodzimierza Fronczaka pt. „Między nami dżentelmenami" zamieszczonego w 22 n-rze „Kameny" pod nazwiskiem Stycznia. Stało się to za sprawą chochlika, który tym razem zadziałał nie w drukarni, ale w redakcji. Chochlik wystąpił w roli spinacza, który przypiął nie podpisane opowiadanie Fronczaka do listu Stycznia. Serdecznie obu panów przepraszamy za ten incydent. Między nami dżentelmenami — jak się wydaje — dalsza współpraca ułoży się pomyślnie, zwłaszcza, że prace tych autorów drukowaliśmy już w następnych numerach. Przy okazji życzymy im wszelkiej pomyślności w 1977 roku!

* * *

W poprzednim numerze w materiale Suita „Aktor": „Dwa Plus Jeden" zamieściliśmy błędne nazwisko kompozytora Janusza Kruka. Też przepraszamy, choć autor przesyła rękopisy. Przy przepisywaniu na maszynie łatwo o pomyłkę.

Pismo Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich.
Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski.

Redaguje zespół: Maria Bechczyc-Rudnicka, Jerzy Dostatni (sekretarz redakcji), Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mańkowski, Zygmunt Mikulski (kierownik działu literackiego) — członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Mirosław Derecki, Tadeusz Jasiński, Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystycznego) i Maciej Podgórski. Redaktor techniczny — Irena Komosa, korektor — Ewa Dybek.

Prenumeratę na kraj przyjmują Oddziały RSW „PRASA—KSIĄŻKA—RUCH" oraz urzędy pocztowe i doręczyciele — w terminach:
— do 25 listopada na styczeń, I kwartał, I półrocze roku następnego i na cały rok następny,
— do dnia 10 miesiąca, poprzedzającego okres prenumeraty na pozostałe okresy roku bieżącego.

Cena prenumeraty rocznej — 78.—

Jednostki gospodarki uspołecznionej, instytucje i organizacje społeczno-polityczne składają zamówienia w miejscowych Oddziałach RSW „PRASA—KSIĄŻKA—RUCH".

Zakłady pracy i instytucje w miejscowościach, w których nie ma Oddziałów RSW oraz prenumeratorzy indywidualni zamawiają prenumeratę w urzędach pocztowych lub u doręczycieli.

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 50% droższa od prenumeraty krajowej przyjmuje RSW „PRASA—KSIĄŻKA—RUCH" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto PKO nr 1531-71 w terminach podanych dla prenumeraty krajowej.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty. Kierownik działu literackiego przyjmuje interesantów w poniedziałki i piątki w godz. 14—15.

Wydawca: RSW „Prasa — Książka — Ruch" Lubelskie Wydawnictwo Prasowe, Lublin, ul. Jasna 6. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, Unicka 4. Zam. 3120. 10.12.76 r.

Numer łamał: Mieczysław Psujek, drukował zespół pod kier. Wacława Kopcia

Adres redakcji: 20-029 Lublin, ul. Skłodowskiej 2/1 — Nr indeksu: 36231

Telefony: sekretariat, redaktor naczelny 255-93, sekretarz redakcji 218-93, dział publicystyki i literacki 275-35. Korespondencje zwykle prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin 1, skrytka pocztowa 231; polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA
w Lublinie
2552
CZASOPISMA
1976

ŚWIDWIŃSKI PEGAZ

STANISŁAW GOLA w tym roku nie wygrał konkursu poetyckiego im. Jana Śpiewaka w Świdwinie. Zrobił to wcześniej, w 1972 r. Na siódmy z kolei finał konkursu poeci i osoby towarzyszące zjechały tłumnie jako że gościnność świdwińskiego Zamku jest wprost niecodzienna. Zjawił się sam lubelski Aleksander Rozenfeld bawiący zdrowotnie na Wybrzeżu.

Imprezę otworzył Maciej Pytel, plastyk krakowski, dając ku uciesze publiczności — która improwizowała wraz z mistrzem przestawiając czarne szesciany, krzesła ze starymi ubraniami, pudła z chlebem, solą, wodą i kamieniami — tzw. „Aranżację przestrzenną". Telewizyjna kamera pracowała intensywnie. O 17.30 poznano laureatów. W stawce blisko trzystu ścigających się pierwszym został Piotr Sommer z Warszawy, — „Złoty Klucz", Tytuł Honorowego Obywatela Zamku Świdwińskiego i 6000 zł (bez bonifikaty). Na trzech dalszych miejscach uplasowali się Wojciech Gierymski, Witold Tegnerowicz i wciąż młody Roman Gorzelski (godło „Biały Pień"), który powtórzył tym samym swój ubiegłoroczny rezultat.

W odróżnieniu od wysokiego poziomu, jaki reprezentowało jury — Kamieńska, Bieńkowski, Grześczak, Misakowski, Sprusiński — wiersze były przeciętną szarzyzną konkursowej produkcji. Zanim w dniu następnym w dyskusji Zbigniew Bieńkowski stwierdził, że Jan Bolesław Ożóg jest najlepszym poetą w Polsce, poeci i osoby towarzyszące (razem 120 osób) udały się na zasłużony bankiet. Wygłoszono kilkanaście peanów na cześć Pegaza i gospodarzy turnieju, zawarto nowe przyjaźnie. W dyskusji następnego dnia roztrząsano problem miejsca poezji w dobie postępu technicznego. Po południu teatr „Kontrasty" przedstawił „Akropolis" Stanisława Wyspiańskiego. Teatr działający przy oddziale świdwińskim WDK grupuje młodzież świdwińską ze wszystkich środowisk i szkół.

Była to inscenizacja tym cenniejsza, że „Akropolis" po wojnie był wystawiony tylko dwa razy i to w Krako[illegible] nym [illegible] kowsk[illegible] — Po[illegible] wacki[illegible]

Rów[illegible] poeci i plastycy integrowali nie tylko swoje poczynania twórcze, ale również wykazywali się jako wielbiciele zamkowej kawiarni i kelnerek.

Godne podziwu było zainteresowanie mieszkańców Świdwina całą imprezą. Na rozstrzygnięcie konkursu przybyła tłumnie młodzież wypełniając 300-osobową salę do ostatniego miejsca. Na każdym miejscu dało się odczuć, że poetycka impreza wrosła już na stałe w życie kulturalne gościnnego Świdwina. Zawiedli tekstowo poeci, a plastyk Mikołaj przepadł nagle, zostawiając jedynie kelnerce, pani Krysi, widoczek wymalowany na kawałku płyty pilśniowej. Ech, Mikołaju!

JKM

minuta myślenia

Szukam rozmówcy

OD dawna widzimy upadek życia towarzyskiego w Polsce. Życie towarzyskie spadło do II ligi, a i tam znajduje się w dole tabeli. Czy za granicą również? Nie wiem, nie bywałem. Przynajmniej nie na tyle, bym mógł się posłużyć wypróbowanym publicystycznym zwrotem „we współczesnym świecie".

Gdzież te niegdysiejsze śniegi! Gdzież te zegarki z dewizkami, futrowe chustki, pamięci o imieninach pani aptekarzowej, które tworzyły kulturę pełną sentymentalnych urokow, przy czym sentyment to wcale nie słowo dla krytycznego popisu mniej zdolnych magistrantow. Dzisiaj, kiedy moda retro jest już retro, kiedy fabrykę snow dzięki telewizji mamy w domu, a dom wraz z całym osiedlem mieszkaniowym jest — jak mowią socjolodzy i urbaniści — tylko sypialnią, życie towarzyskie streszcza się do pytania o urlop, do życzenia „smacznego" w stołówce urzędniczej (czysty nadrealizm) i do kiepskiego dowcipu rzuconego na czerwonym świetle.

Ciekaw jestem, dlaczego na tym ma polegać specyfika czasu. Pospiech? To oceńmy efekt wynikający z pospiesznej krzątaniny w obrębie dnia codziennego. W biegach mierzy się wyniki z dokładnoscią do jednej setnej sekundy. Tam coraz bardziej się spieszą. Ale co z tego, gdybysmy podobną skalę zastosowali do zjawisk życia, co pozornie miałoby uzasadnienie, skoro na zewnątrz jest ono podobne do pośpiechu sportowego? Stwierdzilibyśmy, że zamiast zmarnować godzinę, zmarnowaliśmy 360 000 setnych sekundy. Uszczuplamy, limitujemy czas towarzyski, bo więcej potrzeba nam czasu publicznego. I w końcu wracając do „sypialni" stwierdzamy, że z powodzeniem mogliśmy sobie uciąć solidną pogawędkę ze znajomym, bo i tak slalom gigant przez miasto nadmiernych efektów nie przyniósł.

Z powodzeniem. To wcale nie jest tylko stylistyczny zwrot. Mam na myśli całkiem realną korzyść. Na przykład. Książki z księgarni znikają, sprzedaje się je spod lady. Ale kto o nich mówi? Gdzie się słyszy rozmowę na temat bestselleru poza tym, że dom kultury ogłosi czasem prelekcję z dyskusją, na którą pasjonaci czytelnictwa — jakby wynikało ze statystyk sprzedaży — prawie nie przychodzą? Że nie gustują w zbiorowej formie recepcji literatury? Zgoda, to właśnie powód do prywatnej rozmowy, do reaktywowania tego elementu życia towarzyskiego, które niech nie powtarza się w zdezaktualizowanej postaci przedwczorajszej, ale niechby nie było wykreślone spośród przejawów cywilizacyjnych współczesności. Czy może kupowanie książek to coś w rodzaju współczesnej dulszczyzny? Szafa z książkami to atrakcyjny ornament otrzymanego niedawno M — lieś tam i dlatego run na księgarnianą ladę? A właściwie na zawartość pod nią?

Jeśli chodzi o mnie, nie daleki byłbym od projektu założenia jakiegoś klubu „starych Polaków" w Lublinie. Owszem, istnieje Towarzystwo Miłośników Lublina, ale tam mnie przeraża naukowy charakter zajęć. Albo historia, z której zawsze otrzymywałem rozcieńczoną trójkę, albo architektura, która przeraża tyleż samo, bo nie wiem dlaczego drzwi mają być portalem, a sufit plafonem. Natomiast te dykteryjki, dygresje, dywagacje (panowie magistranci! dywagacja to nie znaczy dysertacja!) — czy nie rzeczywisty to czynnik kulturotworczy w środowisku? Z czego innego powstały np. dowcipne „Nowości lubelskie" — przemiła książeczka zbiorowego autorstwa wydana pod nazwiskiem Czechowicza? Taki klub z pewnością byłby nieoficjalnym forum opinii publicznej. „Kuźnią Kołłątajowską" niezrealizowanych pomysłów i nieobowiązujących sądów, przez co w najmniejszym nawet stopniu nie mniej skutecznych. „Rzeczpospolita Babińska" do dziś przetrwała w facecji i anegdocie. Kiedyś bibliofile lubelscy pełnili rolę esencji kultury, literatury, biesiady środowiskowej. Bibliofile lubelscy istnieją nadal, ale strach pomyśleć, co by się stało z tradycją żywego stosunku do książki, gdyby nie panowie Wojciechowski, Gawarecki, Paszewski.

Poszukujemy wciąż czynników „stymulujących". Właśnie przykro patrzeć, ile przepada możliwosci ożywienia życia kulturalnego przez nieobecność tego staroświeckiego zjawiska, jakim jest życie towarzyskie. Ta permanentna możliwośc wymiany zdań na tematy interesujące. Permanentna i spontaniczna. Czy po to, żeby coś wspólnie przemyśleć konieczny jest spęd na imprezę zapowiedzianą afiszem i anonsowaną w prasie? Bądźmy trochę staroświeccy. Dyskoteki, happeningi, pokrowce na drzewach — piękny to przejaw współczesnego życia i imponujące świadectwo inwencji w poszukiwaniu samookreślenia, ale bezpośredni kontakt między ludźmi, kilka zdań przy łyku herbaty, czy nie skuteczne to antidotum przeciw atomizacji, dezintegracji, frustracji i tych wszystkich „acji", które straszą w języku publicystycznym?

Z latarką Diogenesa szukam rozmówcy. Warunek: wiek powyżej osiemdziesiątki.

Ijon

Skąd my ich znamy?
Fot. S. Grünberg

bez tytułu

POWIEŚĆ CZYTELNIKÓW

—22—

A Elżbieta długo zasnąć nie może. Przeniosła się dziś na drugie łóżko, aby być najdalej od Andrzeja. „Jak on mógł tak postąpić? Nie zasłużyłam na takie słowa. Podły, podły..." W tym momencie gotowa jest wstać, szybko się spakować, poszukać jakiejś taksówki i dostać się nią do Warny, a stamtąd pojechać dalej, do Polski. Pieniądze i bilety znajdują się jednak w marynarce Andrzeja. Bilet sypialny opłacił na konkretny dzień, a bilet kolejowy jest wspólny, wypisany dla dwojga osób. Chcąc nie chcąc, związała się z Andrzejem tak, że musi z nim wracać. Razem. Jeszcze jedna nauczka życiowa...

Gdy spłakana, zgnębiona wreszcie usypia, śni jej się Zygmunt. Tak, nie ulega wątpliwości, że to Zygmunt, chociaż postarzały o lat jakieś dziesięć. Trzyma w dłoniach jego głowę, spogląda mu w oczy i w pewnym momencie widzi, że te oczy gdzieś się gwałtownie zapadają i ma przed sobą oczodoły. „Odeszłaś ode mnie, przestałem widzieć. Popatrz, do czego doprowadziłaś!" Wyraźnie słyszy słowa Zygmunta. Chce krzyknąć, ale ktoś niespodziewanie zatyka jej usta. Do kogo należy ta ręka? Odwraca się i dostrzega Ryszarda. Ale to nie jest ręka Ryszarda, ale ręka jego żony. Branntweiterowa śmieje się i drugą ręką chwyta Elżbietę za gardło. „Ja ciebie wreszcie wykończę, ty wstrętna dziwko! Odechce ci się podrywać cudzych mężów!" W tym momencie pojawia się Andrzej, powala Branntweiterową na ziemię. Elżbieta odczuwa ulgę. Zygmunt, Ryszard i jego żona gdzieś się rozpływają. Jest tylko Andrzej. Głaszcze ją po włosach. Całuje. Na piersiach czuje jego wilgotne wargi. Przygarnia go do siebie. „Kocham ciebie, kocham tylko ciebie. Wybacz..." — Nie, to już nie sen. Andrzej z krwi i kości jest przy niej. Jak dobrze, że jest, że przerwał ten makabryczny sen. To, co było wieczorem, wydaje się już takie odległe... „I ja ciebie kocham, Andrzeju — szepcze Elżbieta — ale bądź dla mnie lepszy. I nigdy nie podnoś głosu... „Przepraszam, ale ty też nigdy nie dawaj mi tyle pić... Boże, gdzieś tu powinna być butelka zoku pomidorowego..."

• • •

Następnego dnia i później nikt już nie wraca do incydentu. Badylarz z Mariolą wyjrzeli tak samo nagle, jak się pojawili. Jaki był powód szybkiego odjazdu — to już pozostało ich tajemnicą. Może — tak przynajmniej myśli Elżbieta — wódka również i jemu uderzyła do głowy i później żałował, że tak energicznie zareagował na słowa Andrzeja. W każdym bądź razie unikali dalszych spotkań i możliwości ewentualnych zatargów lub przeprosin.

Wyjazd do Sofii nie doszedł do skutku, pieniądze stopniały dość szybko. W ostatnich dniach pobytu musieli nawet ograniczyć palenie papierosów, a i o winie też nie było mowy. Ale mimo to nastrój panował pogodny. Elżbieta znów uwierzyła, że przy Andrzeju jest jej najlepiej. Jedna tylko sprawa pozostawała niejasna, ale o tym wiedziała tylko ona, spoglądając na kalendarz...

• • •

I oto znów są w pociągu, który pędzi tą samą trasą, tylko że w odwrotnym kierunku. Granica bułgarsko-rumuńska.

— Kożuchy jest — pyta celnik.
Elżbieta parska śmiechem.
— A co jest?
— My. To nie wystarcza?
— Bułgaria hubowa?
— Bułgaria hubowa — pohubowa — najhubowa. Toasty czele bunty!
— Ela, ty mieszasz bułgarski z rumuńskim!
Teraz celnik się śmieje.
— Dowidzenia! — Zamyka drzwi od przedziału.
— Widzisz, jak można zgłupieć za granicą. Co ja takiego powiedziałam, Andrzeju?
— Bułgaria piękna, piękniejsza, najpiękniejsza. Nauczyłaś się stopniować po bułgarsku. Ale „wszystkiego najlepszego" — to już było powiedziane po rumuńsku!
— Mieszają mi się te samouczki. Ale wiesz co? Muszę się solidnie wziąć za języki. Pomożesz mi?
— Pewnie, że pomogę.
Andrzej przytula ją do siebie. Tak, teraz jest dobrze. Bardzo dobrze. Ta chwila mogłaby trwać wiecznie...
— Andrzejku, Jędrusiu — mówi po raz pierwszy — chciałam cię o coś zapytać.
— Słucham ciebie, kochana.
— Co będzie, jeśli okaże się, że jestem w ciąży?
— Skąd ci takie myśli przychodzą do głowy?

(cdn)

Znów zamieszczamy odcinek nadesłany przez p. Anatola Pokornego z Gdańska. Kadra autorów zaczyna się stabilizować! P. Stanisław S. z Włodawy też próbuje startować już bodaj po raz trzeci. Niestety, nie zna realiów bułgarskich. Do Nesseberu nie dochodzi pociąg, wystarczy spojrzeć na mapę! Natomiast p. Ryszard B. z Bitgoraja w swej propozycji doprowadził do zgwałcenia Elżbiety przez Andrzeja. Oto próbka: „Próbowała się bronić, wciskając swe paznokcie w jego plecy, lecz już było za późno. Andrzej z zadowoleniem rysującym się na twarzy jak nasycony samiec zsunął się z jej ciała. (...) — Ty, chamie, zgwałciłeś mnie! — Elżbieta podniosła się i dała mu z całą swą siłą w twarz. Odgłos bitej gęby rozszedł się po pokoju." Hubowo, jak mówią bułgarscy górale. Na kolejny odcinek czekamy do 30 grudnia br. A swoją drogą chętnie widzielibyśmy listy Czytelników: Czy powieść kontynuować, czy też zmierzać już do finału.